



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 20 listopada 1955 r.

Nr 47 (295) Rok VI

ROMAN BRATNY

Sobie — na urodziny

Na ten dzień meteorologiczne krawce
przygotują mi z majowego deszczu
dwa nieprzemakalne płaszcze
jak pogodne niebo — niebieskie.

Na ten dzień kosmiczni szewcowie
skórą z baranków wełniących na niebie
podzielują mi na mleczną drogę
pięty bosa niemiłosiernie.
Więćzór będzie śpiewał jakby był ptakiem,
uśmiechnięte będą nawet smutki.
Dwie ostatnie łyż w złotej klatce
zawisną w Muzeum Sztuki.

W powietrzu klipsów rój zakrząży
i zausznice:
pary pszczoł tresowanych, złotych
kobiety poniosą w uszach.

Ze co? Ze stek bredni
zrozumiałych piąte przez dziesiąte?
Ja opisuję imieniny poety
80-te.

Rok dwutysięczny któryś,
lecz zaproszenia już dzisiaj wydaje
— na lat pięćdziesiąt z góry.
Szczegóły obok w programie.

Ogolić zmarszczki,
umyć ból głowy,
wyglądzić dreszcze,
wyszczotkować system nerwowy.



Krawat? Zamiast krawata
od lat latem nosimy
dla ochłody
w bardzo fantastycznych fontazjach
wiązane ręcznie strumyczki
źródłanej wody.
No więc róbcież te węzły płynne, woniejące
i niech głowa się czuje jak na łące.

A ponieważ ludzka dłoń
będzie czystsza niż źródłana woda
przejrzyjsze się w dłoni:
stuletnia twarz — jąka młoda!

Teraz jeszcze każda pani
zaopatrzy się w kaganiec dla róż.
Co?
Potrafiliśmy oswoić wilki,
ujęździć mustangi
— oswojone róże i goździki
biegają za kobietami.

Wieczór ciepły i suchy,
nic nie zepsuje zabawy.
Deszcz pada z ziemi do nieba:
dzisiaj tworzymy chmury
deszczu nam nie potrzeba.

Na moich urodzinach
jest miejsce dla religijnych
— tam, trochę dalej, przy winach
przy najpiękniejszych dziewczynach
o brwiach prostolinijnych.

Bogowie tam przy stoliku
spoufaleri z kartami
przy miłym boskim bridżiku
machają roberkami.

„210 bez atu.“
— tak Budda licytuje.
„Czas religijnych baśni
skończył się, więc kontruję!“
— Mahomet na to wrzaśnie
(nasz bóg mu kibicuje...)

I wtedy właśnie skandal
najmilszy, przewidziany,
oto na cześć jubilata
...zostanie aresztowany.

Milicja to imię własne
zamiast pałki — niewinność,
smukłość zamiast munduru,
stópki zamiast buciorów.
I będę odprowadzony
o lat 50 wstecz.

Dla mnie czas się odwróci,
zacznę wszystko od nowa,
będą mnie burze prac
i głód mnie hartować.

Jakiś dobry redaktor
odrzuć ten poemat:
za mało rymów i faktów,
nic o miłości nie ma.

A ja szczęśliwy, obdarzony
półwieczem walki
będę chodził po ulicach
brudnych,
będę śpiewał piosenki
kiepskie,
będę żył w czasie,
który kocham.

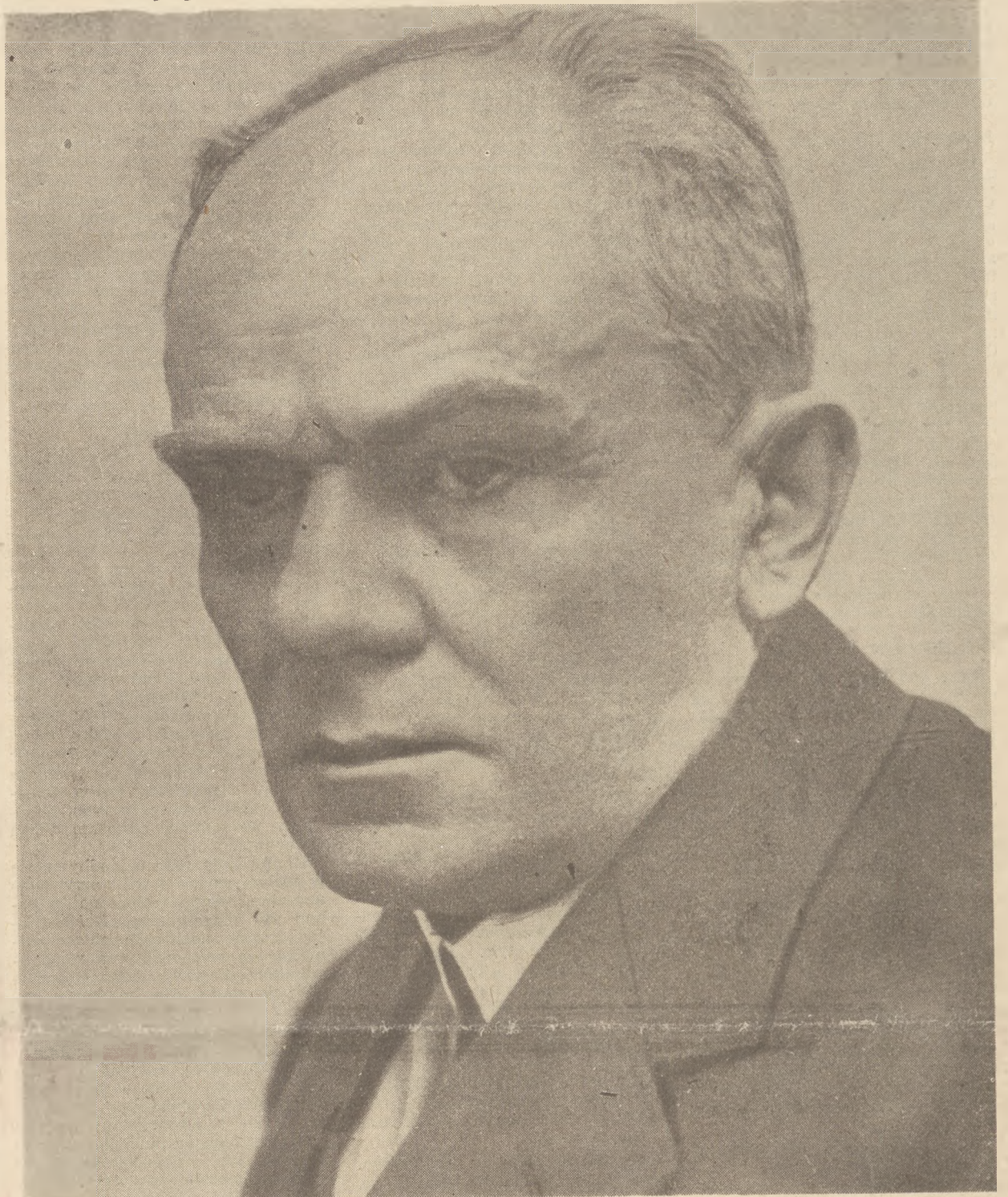
Premier Burmy U Nu gościem Związku Literatów Polskich



Fot. A. Nowosielski

Z „Dzienników”

STEFAN ŻEROMSKI



Z „burzliwej rzeki rzeczy”, jaka plynie w końcowych tomikach „Dzienników” Żeromskiego pisanych w latach 1888 — 1891 w Warszawie, w Sandomierskiem, w Oleśnicy, w Łysowie i Nałęczowie, wydzielamy tu świadomie nurt twórczości literackiej, rozważań teore-

tyczno-artystycznych i wyznań dotyczących psychologii twórczości. Przedrukowane wyjątki nie stanowią nawet połowy uwag na ten temat, rozszaniętego w autografie „Dzienników”. Staramy się wybierać urywki obszerniejsze, zawierające rzeczy najbardziej zna-

mienne, najbardziej charakterystyczne. Ortografię i interpunkcję autografu zmodernizowano, zachowując tylko indywidualne właściwości pisarza w zakresie fleksji i fonetyki. Przypisy na końcu pochodzą od wydawcy.

Jerzy Kądziera

MOTTO:

(„Dzienniki”, 22.V.1887.)

Jedynie możliwe na ziemi bezgraniczne, nieskończone zadowolenie — daje sztukę. Jest ona nadziemskim światłem, niewysłowioną w miłosierdziu pocieszycielką nieszczęśliwych, rozkoszą upajającą, ekstazą bez granic. Jest większą i potężniejszą, niezwyczajnie bogatszą w łaski i zachwyty — niż miłość. Jest po milion razy od ostatniej lepsza. Jest zapomnieniem, jest perłą w klejchu gorzkości życia.

24.III.1888.

Jeszcze jedna rana, jeden cios, jedno nieszczęście — moja powieść. Urodziła się we mnie, gdy byłem w klasie VIII, gdy czytałem Turgieniewa, rosta ze wzrostem namiętnej miłości do pani Heleny¹⁾, uczył ją myśleć Taine, bił ją socjalizm polski, kusiła praca organiczna, napawała sarkazmem nędza, głód wodził po przepaściach, pieściły wspomnienia, kochała przyroda, a ja jeden oprowadzałem po życiu. Ileśmy widzieli, ile razy konali w męczarniach bezsilności, ile razy wznosili się na skrzydłach, jak długomy cierpieli. Zaw sze jesteśmy razem, ciągle się czegoś uczymy... Czym jest, jak się nazywa ta nauka? Długa platanina — chaos marzeń i wir obserwacji! A wiemy, że prócz obserwacji — nie ma nic, prócz straszliwego naszego wroga — psychologii. Marzemy, marzemy bez miary. Stąd płynnie brak męstwa. O, któż pojmie straszną twórcę streszczającą się w konieczności obiektywnej w formę marzeń! To znaczy stworzyć powieść, to znaczy wywlec siebie ze siebie... Czy podobieństwo napisać wszystko? Zdaje mi się, że oszalałbym czytając recenzję, gdzie krytyk opowiada zwykłe szkice, treść powieści. Fabuła zostaje sama, łądoga pozabawiona kwiatów. Wszystko wtedy przestaje być twórczym marzeniem, staje się jego (krytyka) własnością. On to sądzi, przebiega jak w koszyku kartofli. A ty? Ty lepilesz drzącymi rękami utwór sztuki...

¹⁾ Helena z Żelichów Radzińska, młodsza siostra matki pisarza.

Co to sztuka? Straszliwy przestwór, gdzie możesz się wznosić do nieskończonej wysokości — idź, dokąd chcesz, idź choćby do Szekspira. Zaczynasz się bać... To tak, jak straszliwe pragnienie w febrze. Jeśli zaczniesz pić — to się zabijesz, a nie pić — to cierpieć, cierpieć głucho, posępnie, tajemnie, bez miary. Staje przed tobą straszliwe widmo, potwornie mgliste, ciemne, tajemnicze, wymykające się z konwulsyjnie pracujących tkanin mózgu: idea obrazu. Patrząc — już najstraszniejszy fałsz!

Kartony wymarzonego utworu nie powstają w twej wyobraźni prosto, jasno, zrozumiale; nie tworzą idei — lecz ona zjawia się pierwsza, ta idea. To przekleństwo ciąży nawet nad Turgieniem. Od niego, od tej mgły zależeć będzie wszystko. Czyż to będzie prawda? Jacy będą ci ludzie? Prawda, że idea zrodziła się na widok ludzi, ale powstała absolutnie, skądinąd, nie wypłyne z charakteru twych kreacji. Utwór będzie stworzonym a priori... A więc — już przez to skazany zostanie na zagładę. Tak nie tworzył ani Homer, ani Michał Anioł, ani Szekspir, ani Goethe, ani Mickiewicz. Trzeba więc tak ukryć idee, aby jej nie odszukał wzrok pospolitoty. Co za szariatania, co za głupota, co za idiotyczne stawianie na koturnach! Sztuka jest prostą jak wylew wody, jak przypływ morza — my robimy z niej reakcję chemiczną. Trzeba tedy zrobić ten odczyn jak najszybciej. Byłoby idiotyzmem wołać: panowie, bierzcie siarę, węgiel, siarkowodor i miedź, gdyż chce otrzymać i pokazać wam gaz błotnisty, nadzwyczaj ważny w mej nauce... Tak czynią beletryści wychowani w szkole pracy organicznej. To się nazywa uczciwa tendencja, a jest to kieszka napchanym grochem z napisem: nadzwyczaj pożyteczna dla zdrowia kieszka.

3.VI.1888.

Zauważono już nieraz, że twórczość za dni naszych zabija — krytyka. Doba ta — jest doba jednokrytyki. Dziś jest jeden tylko u nas człowiek, jaki wyrósł nad tłumy — to Sienkiewicz. Dlaczego? Gdyż uciekł od chwili obecnej w przeszłość,

Czytałem dziś w „Prawdzie” artykuł krytyczny²⁾, podcyfrowany literami A. S., o powieści Orzeszkowej „Nad Niemnem”. Artykuł ten sam w sobie jest utworem sztuki. Oto — do czego doszliśmy. Sztuka dawno już w osobie Taine’a we Francji wpuściła do panteonu sztuk pięknych krytykę, zrobiła to samo później w Danii z Brandesem, u nas krytyka dziś dopiero święcić zaczyna swe tryumfy. Ale co się robi z twórczością? — Umiera.

Umiera, gdyż zamykają przed nią wszystkie drogi, jakimi chodziła. Nikt nie ośmiela się pisać... bez reguły. I oto w umyśle ludzkim nie powstają kreacje jak w umyśle Michała Anioła, lecz muszą przejść najrozmaitsze etapy, gimnazja i uniwersytety prawideł. Ktoś jest zolista, a ktoś inny symbolista — obaj trzymają się jak pijani płotu prawideł. U nas, u nas jest tylko tendencja społeczna, polityczna, filozoficzna, jaka zresztą chcecie — ale zamazująca utwory sztuki. Jest to sztuka stosowana, dekoracje potrzebne do uwydatnienia tej lub innej myśli. Kierunek ten do absurdu doprowadził Świętochowski. Co w jego utworach jest oprócz stylu, jakiego w Polsce nie posiada nikt prócz niego? Nic — żadnej prawdy. Dialogi Lukana.³⁾

Sienkiewiczowi nie zepsuła „Popopu” żadna idea — toteż on długo pożyje. Nie oglądał się na te psychologie i konsekwencje głupie, jakimi otoczono każdą książkę wychodzącą świeżo spod prasy — i dlatego zaszedł wysoko.

Grozi literaturze naszej los literatury z epoki Boileau.⁴⁾ Umysły i wy-

(Dokończenie na str. 3)

¹⁾ Był to artykuł w nr 22 „Prawdy” z 2. VI. 1888 r. Pod kryptonimem A. S. ukrywał się Aleksander Świętochowski.
²⁾ Chodzi tu oczywiście nie o poetę rzymskiego Lukana (39–65), autora epopei „Farsallia”, lecz o Lukiana z Samosaty (125–180), greckiego pisarza satyryka, autora słynnych „Dialogów znartych”. To pomieszczenie powtórzy się u Żeromskiego jeszcze w I wydaniu „Ludzi bezdomnych”.

³⁾ T. zn. skostnienie w sztywnych przepisach kodeksu poetyckiego. Takie właśnie reguły normatywne zawierała słynna w XVIII wieku w całej Europie „L’art poétique”, wydana w 1674 r. przez Mikolaja Boileau.

STEFAN ARSKI

GENEWA 1955

Sobota, 5 listopada

Początek trzydniowych „fe-rii” genewskich. Ministrowie rozjechali się w cztery strony świata. Dom Prasy również pustoszeje. Tylko nieliczni dziennikarze kręcą się po hallu. Korespondenci amerykańscy — ci, którzy nie polecili z Dullesem do Wiednia i Brioni — informują, że dostali z miarodajnych źródeł wskazówkę, iż „konferencja jest na najlepszą drogę do sukcesu”. Podobno nawet zachęcano ich, by hojnie dozwolili optymizm w swych depeszach genewskich. Główny temat rozmów: dociekania, o czym Dulles będzie mówił z Tito, co Molotow przywiezie z Moskwy. Nastroj wakacyjny wcześniej wypędza nas z Domu Prasy.

Niedziela, 6 listopada

W Domu Prasy jeszcze puścic. Nie ma z kim i o czym mówić. Oglądamy w kinie francuski film „Zniegowie”. Niezły komentarz do dyskusji nad sprawą bezpieczeństwa i Niemiec. Treścią filmu losy trzech Francuzów jeńców, którzy zbiegli z hitlerowskiego obozu. Poma-ga im w ucieczce Polka, zestana na roboty przymusowe do Niemiec. Chciałoby się zaproponować wyjeżdżanie tego filmu dla trzech zachodnich ministrów. Byłby świetną ilustracją do tez Molotowa. Wczoraj Dom Prasy ożywia się nieco. Spekulacja na temat przylotu do Genewy Ollenhauera. Co powie przywódca socjaldemokratycznej opozycji na temat genewskich wydarzeń? Ollenhauer wycofał się z zamiaru zorganizowania ogólnej konferencji prasowej. Będzie mówił tylko z paroma indywidualnie zaproszonymi dziennikarzami. Jutro spotka się z Dullesem.

Poniedziałek, 7 listopada

Niezwykłe fałszerstwo informacyjne „New York Herald Tribune” na temat rozmów Dulles — Tito. Korespondent dziennika William J. Humphreys donosi w depeszy z Brioni, że prezydent Jugosławii wypowiedział się za polityką „wyzwolenia” narodów Europy. Wschodniej czyli za narzuceniem krajom demokracji ludowej na powrót ustroju kapitalistycznego. Dziennikarze jugosłowiańscy gwałtownie protestują: wiadomość jest na pewno przekreślona. Sprawdzamy w innych piśmiech i doniesieniach agencyjnych. Jugosłowianie mają rację. Rzecz ma się wręcz odwrócić. Tito zaakcentował prawa tych krajów do decydowania o własnym ustroju. Dulles, z pewnym ociąganiem się, zaakceptował to stanowisko. Zapytany w tej sprawie na konferencji prasowej, oświadczył — cytujemy według „Manchester Guardian” — co następuje:

„Zgodziliśmy się z prezydentem Tito, że ogromne znaczenie ma uznanie prawa tych krajów do niepodległości, przyjęcie zasady nie mieszaniasia się w ich sprawy wewnętrzne i uznanie ich prawa do kształtowania swego ustroju społecznego i gospodarczego według własnej woli”. Jednomysłne komentarze prasy francuskiej i brytyjskiej, że marszałek Tito osiągnął wielki sukces nakłaniając kierownika polityki zagranicznej USA do uznania, że nikt nie ma prawa mieszać się do tego, że kraje demokracji ludowej wybrały ustrój socjalistyczny. Ożywione komentarze dziennikarzy na temat wypowiedzi bawiącego w Genewie Ollenhauera oraz dwóch działaczy „Partii Uchodźców” pp. Mockera i Feller. Wszyscy trzej mówią innym nieco językiem, aniżeli oficjalni rzecznicy Adenauera w Genewie.

Ollenhauer wypowiedział się na temat „kontaktów technicznych” pomiędzy NRD a NRF i dał do zrozumienia, że jeśli cenę zjednoczenia Niemiec stanowi wyrzeczenie się udziału w Pakcie Atlantyckim — to należy też możliwość wziąć poważnie pod uwagę.

Panowie Mockery i Feller oświadczyli, że mocarstwa zachodnie nie powinny odrzucać a limine radzieckiej propozycji utworzenia rady ogólnie — niemieckiej, lecz przyjąć ją za podstawę do dyskusji.

Ogólną radość wśród dziennikarzy budzi depesza jednego z korespondentów japońskich w Genewie. Stwierdziwszy, że taryfa telegraficzna Genewa — Tokio jest ruinującą wysoko, wysłał on do swego pisma sprawozdanie w sześciu wierszach. „Dialog głuchych”. Punt pierwszy: Rosjanie mówią — bezpieczeństwo europejskie, Zachód odpowiada — zjednoczenie Niemiec. Punkt drugi: Rosjanie mówią — rozbrajamy się, Zachód odpowiada — wprowadzajmy kontrolę i inspekcję. Punkt trzeci: Rosjanie mówią — handlujemy, Zachód odpowiada — podróżujemy.

Jeśli nie całkiem dokładnie, to w każdym razie wzięcie i tania...

Wtorek, 8 listopada

Każda konferencja ma swe dni pomyślne i niepomyślne. Dzień dzisiejszy stanowi prawdopodobnie dzień najtrudniejszy. Po trzech dniach posiedzenie rozpoczyna się o pół do czwartej. Molotow raz jeszcze formułuje stanowisko radzieckie. Stwierdza otwarcie: rząd radziecki uważa bezpieczeństwo Europy za rzecz najważniejszą. Zjednoczenie Niemiec na platformie proponowanej przez Zachód ozna-

czałoby remilitaryzację całych Niemiec. Zniszczonoby przy tym trwały dorobek narodu niemieckiego, jakim jest pokojowe i demokratyczne państwo, państwo niemieckie — NRD. Molotow podkreśla: zarzucając nam, że zmieniliśmy stanowisko od czasu konferencji berlińskiej. Tak, to prawda, ale czyż nie ostrzegaliśmy, że jeśli nastąpi ratyfikacja układów paryskich, sprawa zjednoczenia Niemiec skomplikuje się niezmierznie. Mocarstwa zachodnie przeforsowały ratyfikację i remilitaryzację, któż jest więc odpowiedzialny za uniemożliwienie zjednoczenia Niemiec?

Odpowiedź ministrów zachodnich — niemal historyczna. Muszą to odespać, proszą o odroczenie do dnia następnego. Molotow się zgadza.

Dom Prasy szumi tego wieczora jak ul. Piesmiści obnoszą się ze swym: „a nie mówimem?”, co trzejwiesi dziennikarze zachodni nie poddają się wszakże nastrojom paniki: Nie ma mowy o zerwaniu konferencji. Nie zapominajcie o wyborach we Francji — które są tuż i w Ameryce — które są wprawdzie nieco dalsze, ale „duch Genewy” to główny kapitał partii pana Dullesa w nadchodzącej kampanii wyborczej. Poważny korespondent amerykański stwierdza: w Ameryce ludzie mają dość zimnej wojny, zamakowali już w odwilży i ani im się śni wracać do tamtych czasów. Co myślá we Francji?

Artykuł Duvergera w „Mondzie” został już z rana przetelegrafowany stąd we wszystkich językach na cały świat.

Przytaczając plan Molotowa w sprawie bezpieczeństwa, publicysta francuski stwierdza wręcz: „Jest rzeczą niewątpliwą, że opinia publiczna we Francji i w całej Europie zachodniej jest po stronie tego planu. Ma on trzy zalety: uniemożliwia wyścig zbrojeń w Europie, powstrzymuje rozwój militarystu niemieckiego, wprowadza eksperymentalny system kontroli zbrojeń, który następnie może być rozciągnięty na inne tereny.”

Podobny w treści i duchu artykuł wysłał wczoraj do swego pisma korespondent „News Chronicle”, Forest. Redakcja jednak zawałała się przed wydrukowaniem.

Może na tle tych artykułów gwałtowna reakcja ministrów zachodnich staje się zrozumiała. Zdenerwował ich nie tyle Molotow, co obawa przed własną opinią publiczną. Ktoś przypomina w kulturalnych artykułach „Manchester Guardian” i braci Alsop w prasie amerykańskiej, gdzie stanowisko trójki zachodniej określono mianem hipokryzji. Jakże inaczej nazwać próbę przemycenia pod osłoną „ducha Genewy” projektu remilitaryzacji całych Niemiec?

Środa, 9 listopada

Rozmowy z madame Tabouis mają zawsze ten sam urok. Nestorka dziennikarzy francuskich mimo swych 64 lat (zdradza nam tajemnicę swego wieku właśnie w dzisiejszej rozmowie) ma wdzięk, siłą, żywotność i energię młodej niewiasty. Pomyśleć, w ciągu tego roku zdażyła być w Indochinach, w Stach Zjednoczonych, na dwóch konferencjach genewskich, w Zagłębiu Saary, nie licząc pomniejszych wypraw. Tabouis nie kryje swego niepokoju z powodu biegu wydarzeń politycznych we Francji. Opisuje w sposób niezmiernie obrazowy intrygi zwolenników zimnej wojny, którzy utracili wyjazd premiera francuskiego do Moskwy, a dziś mają wodę w Genewie. Informuje nas pierwsza zanim jeszcze wiadomość wydosłała się na zewnątrz, że pan Pinay wybiera się właśnie do Bonn, na rozmówki z Adenauerem i Brentano.

Madame Tabouis jest przekonana, że pod naciskiem opinii francuskiej dojdzie w końcu do wizyty francuskich mężów stanu w Moskwie. Zapewnia nas, że jeśli będzie im towarzyszyć, w drodze powrotnej zjadzie w Warszawie. Zapraszamy serdecznie.

Wiadomo już, że nie dojdzie do dzisiejszej sesji do wspólnej deklaracji zachodniej trójki. Był taki zamiar, ale po rozmowie Dullesa z Waszyngtonem został zarzucony. Ministrowie zachodni odpowiadają każdy w swoim imieniu. Stwarza to nowe nadzieje w kołach dziennikarskich.

Posiedzenie ministrów wypełnione tymi właśnie przemówieniami. Są dość ostre. Niemniej w zakończeniu swej mowy Dulles zostawia pewne furtki, widać najwyraźniej, że nie ma odwagi dojść za daleko, choć niektóre fragmenty przemówienia wskazują, że korci go powrót do dawnego, sprzed ducha Genewy, tonu. W ostatniej chwili Molotow wysuwa dwie dodatkowe propozycje w sprawie punktu pierwszego: Wycofanie wojsk okupacyjnych z Niemiec oraz zawarcie paktu nieagresji pomiędzy krajami Paktu Atlantyckiego a krajami układu warszawskiego. Zapada decyzja przejścia do punktu drugiego obrad o ewentualności powrotu

do punktu pierwszego po wyczerpaniu pozostałych punktów.

„News Chronicle” przynosi dziś artykuł Fostera, którego wczoraj nie chciano ogłosić. Widać opinia brytyjska jest naprawdę zaniepokojona uporem zachodnich ministrów. Rozmowy z szeregiem dziennikarzy brytyjskich potwierdzają nasze przypuszczenia, że w Anglii rozpoznać się coraz bardziej poglądy, że należy uznać priorytet bezpieczeństwa zbiorowego nad kwestią zjednoczenia Niemiec.

Wczoraj spotkanie z Feliksem Topolskim. Przyjechał rysować konferencję dla swojej „kroniki” i dla... japońskiego dziennika „Yomiuri shimbun”. Poznajemy korespondenta tego pisma, mr. Yuichi Kobayashi. Omawiamy możliwości wyjazdu dziennikarzy polskich do Japonii i japońskich do Polski. Potem długa rozmowa z Topolskim. Ze śmiechem opowiada o skutkach swej współpracy ze „Światem”. Po ukazaniu się pierwszej kolumny rysunków Topolskiego w „Świecie” wraz z artykułem Zaruby — wyższe sfery londyńskiej emigracji uroczyście proklamowały Topolskiego odstępca i renegatem. W „Orle Białym” ukazał się tasiemcowy paszkwil na artystę. Śmiejąc się omawiamy sprawy dalszej współpracy i projekt wyjazdu prac Topolskiego w Warszawie.

Czwartek, 10 listopada

Konferencja prasowa u ministra spraw zagranicznych NRF Brentano. Właściwie dwie konferencje: jedna dla prasy zachodnio - niemieckiej, druga dla prasy międzynarodowej. Idziemy oczywiście na tę drugą, ale znamy dokładnie przebieg pierwszej. Brentano „położył” się tu dwukrotnie. Na zapytanie, czy byłby zwolennikiem proponowanego przez Molotowa paktu nieagresji między państwami atlantyckimi a państwami układu warszawskiego odpowiedział: „nie, albowiem to zmuszałoby NRF do nawiazania stosunków z NRD.” Drugi wpadunek znacznie gorszy. Pytanie: „Czy pan minister nie sądzi, że pan Molotow obawia się ducha Genewy?” Odpowiedź pana von Brentano: „Ja sam się obawiam ducha Genewy”...

Konferencja prasowa odbywa się w małym saloniku willi przy Avenue de Champel. Słuchozono tu ponad stu dziennikarzy. Krótkie oświadczenie adenauerowskiego ministra nie wychodzi poza sferę ogólników. Zawiera demonstracyjne podziękowanie dla ministrów zachodnich za „nieograniczoną i bezwarunkową lojalność wobec Bonn”. Pytania dziennikarzy wyciskają z bóńskiego ministra kilka interesujących wyznań. Szczególnie ciekawe są pytania Brytyjczyków. Skoro nie ma mowy o zjednoczeniu Niemiec na warunkach zachodnich, czy pan minister nie sądzi, że dla dobra narodu niemieckiego należy się zastanowić nad alternatywą, tzn. mianowicie, którą proponuje ZSRR, tzn. dążyć do zjednoczenia poprzez stworzenie systemu bezpieczeństwa europejskiego i stopniowe zbliżenie między Wschodem a Zachodem? Brentano wyraźnie poirytowany kierunkiem pytań, kategorycznie odrzuca tę alternatywę. Zwolenników neutralizmu w NRF określa mianem „narodowych bolszewików”. Podko- wiński rzuca pytanie: „Czy pan minister uważa pułkownika von Bönina i hr. Westphalen za narodowych bolszewików?” Odpowiedź: „Tak jest”. Poruszenie na sali.

Posiedzenie ministrów poświęcono drugiemu punktowi porządku dziennego: rozbrojeniu. Obie strony przedstawiają własne projekty w tej sprawie. Istota projektu radzieckiego: najpierw decyzja w sprawie redukcji sił zbrojnych, po-

tem kontrola, ponadto uroczyste wyrzeczenie się broni atomowej, zanim jeszcze nastąpi zawarcie ostatecznego układu rozbrojeniowego.

Propozycje zachodnie kładą główny nacisk na kontrolę i inspekcję. O konkretnych posunięciach rozbrojenia i redukcji sił zbrojnych niewiele. Dyskusja jutro.

Piątek, 11 listopada

O trzeciej trzydzieści normalne posiedzenie. Prezentacja stanowisk w sprawie rozbrojenia. Rozbieżności poważne. Atmosfera napięta. Wczorajm przyjeździe dla prasy, wydane przez rzeczniczkę delegacji radzieckiej, Iljiczowa w hotelu „Metropol”. Atmosfera „ducha Genewy”. Topolski szkicuje szturm na bufet. Obiekt szturm — wódka i kawior. Rozmowy obracają się nieodmiennie wokół konferencji. Po trzech tygodniach cierpimy tu wszyscy na pewne skrzywienie zawodowe. Nie potrafimy mówić o niczym innym, tylko o konferencji. Dziennikarz zachodnio - niemiecki w przystępie szczerości tłumaczy mi perspektywę sprawy niemieckiej. Stanowisko radzieckie — powiada — jest zupełnie logiczne. Będzie miało daleko idące skutki w Niemczech zachodnich. Pamięta pan, że w chwili ratyfikowania układów paryskich mocarstwa zachodnie solennie przyrzekały, iż jest to najpewniejsza droga do zjednoczenia? Tymczasem obecna konferencja wykazała dobitnie, że jest wręcz na odwrót. Pakt Atlantycki i Europejska Wspólnota Obronna są największą zawadą na drodze do zjednoczenia. Więc — stwierdza mój rozmówca — trzeba będzie z tego wyciągnąć wnioski. Jest przekonany, że nastąpi teraz w NRF poważny ferment i spory odłam Niemców tamtejszych zrewiduje swój pogląd na politykę Adenauera, która sztywno trzyma się przeżytych i zbankrutowanych tez.

Dziennikarz amerykański, przysłuchujący się naszej rozmowie kiwa potakująco głową. Dorzuca, że jeśli nawet konferencja nie da takich wyników jakich oczekiwano z początku, to przecież nie ma mowy, by nastąpiło spotęgowanie „zimnej wojny”. Europa zachodnia dawno już ma dość napięcia. Ostatnio opinia amerykańska wypowiada się coraz bardziej stanowczo za polityką odprężenia.

Sobota, 12 listopada

Z pierwszych słów rzeczników referujących przebieg dzisiejszych obrad widać, że toczyły się one w atmosferze o wiele pomyślniejszej niż wczoraj i onegdaj. Obrady zaczęły się wyjątkowo wcześnie, bo już o 10 rano. Po krótkich przemówieniach Macmillana i Margerie, który zastępuje nieobecnego Pinaya, Dulles zaproponował godzinną przerwę. Poczem odbył dłuższą rozmowę z Molotowem.

Po wznowieniu obrad Dulles i Molotow wyraźnie podkreślili, że stwierdzone zbliżenie poglądów w wielu punktach. Molotow oświadczył, iż wszyscy uczestnicy konferencji są przeniknięci wolą zmniejszenia napięcia międzynarodowego, pragną przywrócenia zaufania i zaprzestania wyścigu zbrojeń. Dulles wyraził opinie, że wymiana zdań była nader pożyteczna, pozwoliła bowiem ustalić punkty zbliżenia i ujaawnić podstawowe rozbieżności. Molotow podkreśla, że rozumie znaczenie, jakie Dulles przywiązuje do sprawy kontroli i inspekcji. Dulles zaś stwierdza, iż wydatny krok ku rozbrojeniu jest niemniej istotny, jak kontrola i inspekcja. Teraz już zaczynają się wyłaniać zarzwy wyników konferencji.

Podstawa do dalszych rozmów. Tydzień genewski kończy się na pozytywnej nucie. Tak to zdaje się sformułował p. Macmillan.

Stefan Arski

WITOLD WIRPSZA

NA MARGINESIE

Dretna mowa

1.

Niekoniecznie trzeba pisać o wydanych tylko tomikach wierszy. Można chyba również pisać o poszczególnych wierszach, drukowanych w prasie.

W dziesiątym numerze „Twórczości” wydrukowano bardzo ciekawą wiankę debiutujących poetów. Między innymi ukazał się wiersz Bohdana Drozdowskiego pt. „Ach pozwól mi westchnąć”. Przytoczę go w całości, aby nie trzeba było sięgać po miesięcznik:

Kocham tempo
kocham łoskot odrzutowców
kocham jazę
natchniony łomot kół
pośpiesznego pociągu
kocham ped
rytm
samą świadomość że jutro
polecimy do Venus

Przeraża mnie tylko
nieustanne przeczekanie
sekund

Ach
pozwól mi westchnąć
aktywiście

Jest to może nawet najslabszy wiersz Drozdowskiego spośród trzech wydrukowanych w „Twórczości”. Ale w tym właśnie wierszu najwidoczniej są wszelkie debiutackie nieporadności: zewnętrznego, techniczne postrzeganie współczesności (tempo, mechanizacja); nazwanie, a nie ukazanie odwiecznej tragedii ludzkiej — przemijania; inwektywa z niedokładnym adresem.

Wszystkie te grzeszki powodują, że wiersz jest pokawałkowany i że nie ma koniecznego związku (koniecznego w sensie artystycznym) między trzema głównymi członami utworu. Z miłości do jazzu i odrzutowców nie wynika bynajmniej żadna nad przeciekaniem sekund; aktywista zdziwi się zapewne dowiadując się, że to w niego właśnie — po wszystkim, co zostało napisane — trafia zgryźliwa poeta.

Ale nie w tym rzecz. Kilka powyższych zdań napisałem troszkę z obowiązku. Interesuje mnie co innego.

2.

Aktywista. „Aktywista” znaczy po polsku „działacz”, czyli człowiek, czyniący z własnej woli więcej, niż do niego należy — innymi słowy ktoś opapanowany twórczą namietnością, żyjący życiem pełniejszym od przeciętnego śmiertelnika. Skądże więc supozycja, iż taki właśnie człowiek nieczuły jest na wielkie ludzkie niepokoje?

Czyżby istniały dane po temu, że by przypuszczać, że aktywista pozbawiony jest zmysłu rzeczywistości? Spotkałem się z następującym zdaniem — a przypuszczam, że sam przez chwilę tak odczuwałem: przecież aktywiści to najlepsza część

naszego społeczeństwa, ich trudom i poświęceniu zawdzięczamy tak wiele; ten wiersz krzywdzi ich.

Stanęliśmy więc na tym, że aktywiści stali się krzywdą.

3.

Dlaczego Drozdowski użył wyrazu „aktywista”? Przecież na pewno nie miał na myśli ludzi dzielnych i ofiarnych i z pewnością nie do nich skierował swój cierpki zarzut. Należy sądzić, że miał na myśli kogo innego.

Niedawno ukazał się w „Po prostu” duży artykuł o chuliganach i „wdechach”. Można się z niego między innymi dowiedzieć, że zarówno jedni i drudzy używają zwrotu „dretna mowa”. Nie będę tego długo tłumaczył: „dretniej mowy” — może niezupełnie w tym znaczeniu w jakim używają go chuligani — mamy w Polsce dużo; wyrażenie to, jakkolwiek był jego rodzaj, przysięgło się we wszystkich warstwach społeczeństwa; używa się go w wypadku, kiedy ktoś głosi rzeczy wznieście i upolitycznione bez najmniejszego poczucia rzeczywistości. W słowniku publicystycznym (uwaga: „dretna mowa”) są w użyciu słowa mniej obrazowe: schematyzm, dogmatyzm.

Dr. zdowski powinien być więc użyć słowa: „dretniak”.

4.

Czy na pewno? Czy nie dzieje się przypadkiem tak, że często w życiu oceniając ludzi, mylimy się i nazywamy aktywistą „dretniaka”? Innymi słowy: frazesowicza i karierowicza? A czyż nie bywa, że były aktywista, wpadłszy w rutynę, staje się „dretniakiem”? Ze spowieszczało mu to, co ongiś mu było ptonieniem? Czyż nie widzieliśmy nigdy, jak połowa ludzi, umieszczanych na oficjalnych listach aktywistów, to „dretniacy”, siejący wokół groźbę i porażenie przez nadużywanie dretniej mowy? Ze — w końcu — istnieje często osobliwa rozbieżność między oficjalną oceną ludzi, a ich oceną przez masę?

Prawdziwicy aktywistów Drozdowski niewątpliwie nie skrzywdził. Czego więc brakuje w tym wierszu? Tego chyba, że sam autor nie odróżnia znaczenia słowa „aktywista” i słowa „dretniak”, że wziął z m o w y p o t o c z n e j wyraz, w którym nastąpiło żywiołowe pewne przesunięcie znaczeniowe i który tym samym stał się czymś w rodzaju kryptonimu; takie ironizowanie wyrażen jest przecież zjawiskiem bardzo ludowym.

To jest właściwy, choć nie zamierzony (a szkoda, że środkami artystycznymi nie wydobyt) podtekst wiersza.

A skąd się takie kryptonimy biorą?

To już byłby podtekst innego wiersza, którego Drozdowski do tej pory nie napisał.

Witold Wirpsza

Następny numer „Nowej Kultury” poświęcony będzie ADAMOWI MICKIEWICZOWI

Ciekawa, obiecująca dyskusja

Nie jestem sprawozdawcą. Nigdy nie próbowałem pisać sprawozdań i aczkolwiek technika takich relacji nie wydaje mi się zbyt skomplikowana, nie wazę się rywalizować ze sprawozdawcami. Ograniczę się wyłącznie do impresji z zorganizowanej przez Departament Zatrudnienia i Plac Ministerstwa Budownictwa Przemysłowego dyskusji nad raportem „O hotelach robotniczych — bez osłonek” (nr 35 i 36 „Nowej Kultury”), która odbyła się w sali konferencyjnej Ministerstwa w dn. 8.XI br. i trwała 5 bitych godzin.

Z uczuciem szczerzej satysfakcji stwierdzam, że dyskusję nad referatem o hotelach cechowała głęboka troska o młodzież robotniczą. Nie było w tej dyskusji ani cienia wulgarnego „kazonnej samokrytyki”, natomiast można było wyzrecznie bolesną świadomość winy za szeregiem przeczonych, za beztroskością stosunek do potrzeb bytowych i kulturalnych robotników, za tolerowaniem bezdusznego stosunku osób bezpośrednio za pracę w hotelach odpowiedzialnych do mieszkających w tych hotelach, za nieumiejętnym doboru pracowników do tak odpowiedzialnej pracy. Padają gorzkie słowa i na ten temat, że niestety można się było spotkać z traktowaniem robotników wyłącznie jako „siły roboczej”, że dyktowano Zjednoczeń interesował przede wszystkim procent wykonania planu, a zapomniano o żywym człowieku, ignorowano jego potrzeby, wymagania, troski, słabości, nawyki i upodobania, bez których uwzględnienia nie może być nawet mowy o rzetelnej pracy wychowawczej.

Wskazano dobitnie na to, że młodzież była traktowana jako bierna masa, którą trzeba „dawać to”, a „zabrać tam tego” (zresztą tych zakazów było nieskończenie więcej niż uprawnień). Zapomniano o rzeczy najważniejszej: o społecznym i kulturalnym uaktywnieniu i u młodzieży. Doszukiwano się wpływu pracy organizacji ZMP-owskiej i skali jej oddziaływania na młodzież w hotelach robotniczych i niestety stwierdzono, że takie wpływy nie istniały. Podkreślono fakt, że tak organizacja partyjna, jak i związki zawodowe nie zadawały sobie wiele trudu, aby dotrzeć do młodzieży ciekawymi, troskliwymi słowem i czynem...

Najbardziej zaimponowało mi w tej wnikliwej dyskusji to, że nie poprzestano na wliczaniu braków i uchybień, lecz ustalono w sposób konkretny sprawa

wy wymagające natychmiastowego usprawnienia, zmiany organizacyjne i wyposażeniowe, możliwe do zrealizowania w ramach Departamentu danego Ministerstwa, jak również sprawy wymagające postawienia przed Prezydentem Rządu.

W toku dyskusji, w której uczestniczyli też przedstawiciele Ministerstwa Budownictwa Miał i Osiedli (szkoda, że nie było przedstawicieli innych ministerstw...) — wyjaśniono się, że często kierownictwo przedsiębiorstwa czy zjednoczenia nie było w stanie załatwić pozytywnie spraw bytowych czy mieszkaniowych, nawet wtedy, gdy w zasadzie nie miało poważnych przeszkód. Tak np. w Hucie im. Bieruta są jeszcze pewne możliwości wydzielenia locum dla młodych małżeństw, pracujących tam już od kilku lat, ale różni inspektorzy grożą sankcjami za nieprzestrzeganie zarządzenia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej z r. 1951, zabraniającego zamieszkiwania małżeństwom w hotelach robotniczych. Trzeba stwierdzić, że i Ministerstwo Finansów traktuje dość mechanicznie sprawy dotyczące zaspokajania potrzeb socjalno-bytowych mieszkających w tych hotelach, skreślając w budżecie na rok przyszły 30 proc. funduszy przeznaczonych na ten cel. Niestety wciąż jeszcze spotykamy się z niezrozumieniem tak prostej rzeczy, że moralnie i idęgo stracony człowiek kosztuje nas o wiele drożej niż wydatkowane zlotówki na umożliwienie mu normalnego i kulturalnego życia i rozwoju.

Podsumowując dyskusję, Dyrektor Departamentu Zatrudnienia i Plac Ministerstwa Budownictwa Przemysłowego, ob. Vierveger, podkreślił, że sens wszystkich wypowiedzi prowadził w skrócie do jednej rzeczy: t r z e b a s t w o r z y ć n o r m a l n e w a r u n k i d l a n o r m a l n y c h l u d z i.

Trudno o bardziej precyzyjną definicję. Nie żałowałem tych pięciu godzin poświęconych dyskusji, nabrałem bowiem przekonania, że poruszenie w raporcie problemy trafiły do sere i świadomości ludzi, którym kształt moralny młodzieży — a przecież to jej udziałem będzie walka o realizowanie komunizmu w naszym kraju — leży mocno na sercu i że w tym Ministerstwie wiele się polepszy w pracy z młodzieżą robotniczą.

A co na to inne Ministerstwa, nie mniej bogate w Hotele Robotnicze? Warto by się o tym dowiedzieć...

B. Ł.

GRYGOŁ ABASZYDZE TYGRYS I MERANI*)

W życiu gruzińskim był zawsze ogień i szcęk był konnicy. Były cierpienia i pasja, były merani i tygrys. Jeździec na wszystko gotowy, jak tygrys wściekły z miłości... W ucieczce przed czarnym losem — i nieugiętość, i zapal.

Licznych herosów waleczność jak ciągły blask błyskawicy. Życie do skoku tygrysa, lotu merani podobne. Śmierć przypadkowa wśród bitwy jak w grze szczęśliwy rzut kości.

Były cierpienia i pasja, były merani i tygrys.

2.

Świt błysnął w niebie, tygrysią skórą rumienia się góry — I drgnęły pączki na drzewach, rosa opadła na trawę, Niby iskry są o ogród Kartli**) zbudzona rozkwitła. Skoki szalone tygrysa sięgają ponad obłoki. Otwarta bezkresna droga, po której mknął był merani — Groźne są oczy tygrysa, grzywa rumaka — jak wichur.

Mgłę podmuch wiatru rozpedził, wściekły rozlega się tętent; W pięknym spotkały się kraju, w Kartli, merani i tygrys!

Przełożył Eugeniusz Żytomirski

*) Merani — skrzydlaty, kary koń, ulubiona postać ludowych bajek gruzińskich (przyp. tłum.).
**) Kartli (Kartalinia) — centralny rejon Gruzji, nazwa używana niekiedy w sensie szerszym, obejmującym całą Gruzję (przyp. tłum.).

Ż E R O M S K I

Z „Dzienników”

(Dokończenie ze str. 1)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

WSPOMNIENIE

Pamiętam ten dzień jak dzisiaj. Z panem Stefanem spotykaliśmy się dość często od owego czasu, kiedy na początku roku 1919 przyjechał na stałe do Warszawy. Urządzono wtedy dla niego powitalny obiad składkowy. Niestety wysokość owej składki przewyższała moje ówczesne możliwości finansowe, zjawilem się więc „Pod Bachusem” już po kolacji w momencie, kiedy Leon Schiller śpiewał swoje piosenki staropolskie — co należało wtedy do każdego programu uprzejmości i społakości — wtedy też zniecierpliwieniem pewnych aranerów całego obiadu. Pan Stefan przyjął mnie serdecznie i prosto, choć nie miał pojęcia, kim jestem. Byłem początkującym literatem — to wystarczyło, aby wzbudzić w nim zainteresowanie. Później często przysiadaliśmy do naszego „okrągłego stołu”, stojącego w głębi dawnego, jeszcze nie powiększonego lokalu Ziemiańskiej. Gawędził z nami bardzo po prostu, gadał, opowiadał anegdoki. Twarz miał niezapomnianą, oczy wymowne i bardzo piękne, śmiech łatwy i zaradliwy.

Potem po wydaniu moich pierwszych książek obdarzył mnie niezastępowalnymi pochlebnymi wyrazami w swoich „Snoibizmie i Postępie”. Wtedy zaliśmy się już lepiej. Pracowałem wówczas w Sejmie, jako sekretarz marszałka Rataja. Żeromski pozostawał z Ratajem w bardzo dobrych stosunkach i przez Rataja załatwiał sprawę otrzymania paszportu na wyjazd za granicę, na południe, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Sprawa ta nie należała do najłatwiejszych. Była to epoka, kiedy jeden z urzędników Ministerstwa na wiadomość, że na Wawelu będzie dawana „Odprawa Posłów Greckich” zapisał: „A kiedy ci posłowie przyjechali?” Nie wiem, czy Żeromski nie był znany w MSZ, czy też chciano tym szkodować Rataja, ale wystawienie paszportów zagranicznych dla Żeromskiego i jego żony napotykało trudności. Musiałem wielokrotnie odwiedzać w tej sprawie protokol dyplomatyczny i wydział paszportowy. Czekać w przedpokoju widziałem, jak z protokołu wychodziła hrabina P., zresztą moja znajoma, z olbrzymim arkuszem paszportu dyplomatycznego w ręku. Po długich staraniach Żeromscy otrzymali paszport zwyczajny, tyle tylko, że bezpłatny.

Z powodu tych starań o paszport otrzymałem pierwszy i jedyny list od pana Stefana. Zawierał on podziękowania za starania przy wyrobie papierów. Traf chciał, że właśnie pisanie listu Żeromskiego przypało w parę dni po urodzeniu mojej sześcioletniej córki. Żeromski dowiedział się o tym od Rataja, i w liście swoim zamieścił jeszcze kilka słów z życzeniami pomyślności dla nas i dla naszej córki. List ten jest dla mnie wielkim skarbem, błogosławieństwem jak gdyby dla moich dzieci, niezwykle cenną pamiątką. Procz tego listu mam jeszcze tylko parę książek z dedykacjami Żeromskiego. I to też jest świadectwem jego serdecznego stosunku do młodych pisarzy. Aby pamiętać o tym, aby początkującemu pisarzowi przysłać zawsze po wydaniu jeden z egzemplarzy „Wiatru od morza”, „Turonii” czy „Miedzy-morza” — trzeba na to wielkiej ser-

deczności uczuć dla młodej literatury polskiej.

Tak się złożyło, że w dzień śmierci Żeromskiego z rana zostałem w domu. Jeden z bliskich moich przyjaciół był wtedy intendentem Zamku, gdzie od niedawna mieszkał Żeromski w pokojach ofiarowanych mu na rezydencję przez Prezydenta Wojciechowskiego. Intendent ten telefonował do mnie, gdyż w ogóle nie wiedział komu dać znać o katastrofie, jaka nastąpiła. Pani Żeromska znajdowała się sama w mieszkaniu, córka była w szkole. Od razu ubrałem się, ale ponieważ mieszkałem tuż obok Sejmu wpadłem jeszcze tam, aby dać znać o śmierci marszałkowi Ratajowi. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie ta nagła zakomunikowana wiadomość zrobiła na Rataju. Ukrył twarz w ręce i przez chwilę siedział nieruchomo przy biurku. Dopiero po pewnym momencie opłonił się, zaczął mi wiać sejmowy samochód i jechał zaraz na Zamek.

Gdy się tam znalazłem, okazało się, że nie byłem pierwszym literatem, jaki się zgłosił w żałobnym mieszkaniu. Byłem pierwszym z młodych, to pewna. Ale w dużym pokoju bardzo skromnie umeblowanego mieszkania Żeromskich przy okrągłym stole siedział już Jan Lorentowicz, Władysław Kłyszewski i ktoś jeszcze. Rozmawiali już z bardzo znanym przedsiębiorcą pogrzebowym, który trzymał w ręku ilustrowany katalog firmy i pokazywał najpiękniejsze modele trumien. Wyszukał wreszcie specjalnie piękny okaz i pokazując go Lorentowiczowi, powiedział:

— Tu, dla pana prezesa mam coś zupełnie specjalnego! Powiedzenie to utkwiło mi na zawsze w uszach. Zawsze widzę tego czarno ubranego pana jak z powieści Uniwilowskiego, wskazującego wizerunek bogato ozdobionej, dębowej trumny, i powtarzającego swoje makabryczne słowa: „dla pana prezesa coś specjalnego”.

Lorentowicz skinął do mnie i wskazywał przyległe drzwi powiedział: — Może pan chce tam wejść. Wszedłem bez wahania. Żeromski leżał ubrany na ubogim, żelaznym łóżku. Łóżko było zbyt krótkie na jego olbrzymią figurę i sztywne nocy, tylko w ciepłych, szarych skarpetkach, sterczały przez prety oparcia wychodzące poza ramy łóżka. Poza jego, przytęsknięte żelazne łóżko, brak innego umeblowania w pokoju, pełne światło listopadowego dnia wpadając przez okno, które Żeromski przed samą śmiercią odsłonił, — to wszystko sprawiło wrażenie ubóstwa i smutku. Z głębokim wzruszeniem stałem u sterczących stóp tego człowieka, którego czciłem i kochałem. I chciałem spojrzeć nim badałem jego twarz.

Twarz była spokojna. Wyglądał jak uśpiony, nie miał trupiej bledzi, a na ustach leżała ciepleńka tajemniczości, pełnego wewnętrznej, głębokiej radości uśmiechu. Uśmiech ten stał w uderzającym kontraście ze smutkiem i opuszczeniem otoczenia. Był to uśmiech wyzwolenia. Te parę minut skupienia przy skromnym łóżku, na którym spoczął Żeromski zostały mi w pamięci na całe życie. I Żeromski tak mi pozostał w pamięci — niezwykły i uśmiechający się — obojętny na nasze kłopotliwe życie, jak okręt odpływający w nieśmiertelność.

Jarosław Iwaszkiewicz

obraźnie tępieja, nie ma nic, co by się unosiło w przestrzeni jak prawda. W naszych czasach nie narodził się już Balzac. Co najwyżej będzie nas bawił oryginalny humor Prusa — lub geniusz Sienkiewicza, szukający piękna w przeszłości.

8.VIII.1888.

Chcę napisać powieść polską — trzeba napisać całą Polskę przewrócić, zobaczyć, zrozumieć i oddać. W głębi życia istnieją tajemnicze prawda, poznać które trzeba samemu, samemu ocenić i na światło dzienne wynieść. Istnieją niewymownie bliskie od nas typy, których dotykamy się niemal palcami, a których nie oświecała jeszcze beletrystyka nigdy. Świat ekonomów, pisarzy proletariatu i gminnych traktowanych był jedynie ze strony humorystycznej. Krzywdą to dla wymyślnych. Można z prawdziwym naturalizmem rysować ich i pokazywać Polakom tych nie odróżniających Polaków od Moskali pariasów cywilizacji. Od pewnego czasu wszyscy noweliści (tj. połowa narodu polskiego) rzucili się do malowania chłopów, a powstała z tej pisaliny jedyna rzecz genialna: „Placówka”.

Pojęcia moje o sztuce wzrastają i krystalizują się w trwałe zasady równocześnie z obserwowaniem życia wiejskiego. Nie książkowe zasady krytyczne, nie teorie estetyczne Brandesa, Taine’a, Paula Bourget, Turgeniewa i Zola wyrobiły we mnie zasady realizmu — lecz obserwacja jedynie. Obrazy same, prawa same stwarzają się kolosalnie na tle tych pól. Życie wiejskie, postacie na wsi dające się widzieć, przystępniejszą są dla oka i umysłu nierównie bardziej niż wszelkie typy miasta. Odgadujesz ich, bo chociaż bez masek — a dla każdego niezmiennie będą ciekawe, jeśli ich odmalować z całą rzetelnością, bez tendencji prawdy.

Powieść nasza winna być głosem narodu całego do pojedynczego jednostek mało narodowych — a więc w wyborze tematu, w oświetleniu pewnych zjawisk naszego życia musi tkwić satyra, skarga, bicz. Nie chcę biecować nigdy i nikogo wychodząc z punktów etycznych, jak się to czyni u nas, ani z punktów postępu czy zacofania — jedynie ginąca narodowość, nasze „ja” zanikające będzie mieć we mnie trybuna. Jednym słowem, chcę nadać powieści tę moc przez oparcie jej na naturalistycznej prawdzie, jaką posiadają zestawienia i wyliczenia statystyczne. Powieść nasza powinna być naszym rachunkiem sumienia. Sztuka nie powinna nie na tym tracić, zyska tylko te cechy, jakie ją wyróżni z szeregu kosmopolitycznych — będzie polską.

9.X.1888.

Józef ¹⁾ opowiadał mi rzecz następującą. Był raz w zmie t. r. w Słazowie, miał interes na poczcie, czekał tam więc. Razem z nim czekał na przyszłe poczty ze dwudziestu szewców, czeladników, sklepiarzy — czekał na „Słowo”. Gdy pocztą przyszła, urzędnik pocztowy zaczął czytać „Potop” na głos... Ci ludzie czekał tam parę godzin, oderwawszy się od pracy, aby usłyszeć dalszy ciąg powieści. Nie darmo mówią, że naród zdaje rachunek przed Sienkiewiczem za uczuć pol-

¹⁾ Treпка, syn Adolfa Treпки i ciotki Żeromskiego, Tekli z Katerów Trepkowej.

²⁾ Dziennik warszawski, w którym w latach 1884—86 ukazywał się pierwodruk „Potopu” Sienkiewicza.

skich. Jest to objaw znamienny. Sam widziałem w Sandomierskiem jak wszyscy, tacy nawet, którzy nigdy nie czytali, dobiali się o „Potop”. Książki kursują, rozbiegają się błyskawicznie. Niebawem, niesłychane powodzenie. Sienkiewicz zrobił dużo, bardzo dużo. Niech imię jego będzie pochwalone...

17.X.1888.

Czytałem w dalszym ciągu studium Maupassanta ¹⁾. Znakomite są jego przesłanki, z jakich wyprowadz sylgizm, mający określać zadanie powieści. Chodzi w nich głównie o prawdę normowaną przez piękno. Traktuje dalej rzecz, nad którą myślałem nieraz: oto technika powieści, sposób pisania subiektywny lub obiektywny. Chodzi o to, jak lepiej pisać: „Jan uczył gwałtowną nienawiść...” czy „Jan zbliżał, wargi jego pobieły, pięści zaciskały się kurczawo, oczy błyszczały dziko, brwi zbiegły się ku sobie i utworzyły nad oczami czarny, prosty sznur...” itd. Maupassant obcuje z tym drugim sposobem. Jam myślę, że z dwu tych ostateczności najlepszym jest środek, daje bowiem możliwość objaśnienia psychicznych procesów, komentowanie za pomocą anatomicznych rozbiórów pragmatyczności danego charakteru i ułatwia pisanie. Czytelnicy bywają leniwi, pragną, ażeby nie myśleć ich domysłami — toteż nie zechcą przypominać sobie, że dany mój opis, dajmy na to wściekłości — oznacza rzeczywiste wściekłości. Gotowi pomysł, że bohater śmiał się własnie... Ile formuł i formulek! Gdzie jesteś, prostota kompozycji, prostota Homera i „Pana Tadeusza”?

30.X.1888.

W powieści „Męty” wykażać walkę pani Jadwigi ze zgnilą rodziną o utrzymanie ziemi. Zaznaczyć w przebiegu akcji, że walka ta nie odbywa się bynajmniej z innymi klasami społecznymi. Wykazać, że kobieta musi paść dzięki konwenansom, energia jej musi być zwalczana przez sumę tego wszystkiego, co nazywamy konwenansami cywilizacyjnymi. Adam jest słabeuszem, energicznym romantykiem, rycerzem miecza, nie mającym nic wspólnego z otaczającym go światem. Energia jego zwyciężca się na marne rzeczy i ginie nie on słachetnie, lecz dla sprawy nie mającej żadnego znaczenia w życiu narodowym. Reszta jest podła hołota. Opisywać to, co się zna dobrze. Jadwiga i Adam — to ludzie niemal idealni! Wykazać w najplastyczniej obrobionych scenach końcowych, że są męami. Szablony — Glaube, ale o niego nie chodzi.

Dziś zakończyłem pierwszy rozdział powieści „Męty”. Ile męczarni przechodzi się pisząc pierwszą powieść, ile udręczeń, ile załamania duszy. Ile razy rzuca się pióro z sentencją: tyś idiota — nie powieściopisarz! Wtedy błądzą po ulicach, przyglądam się tłumowi przesuwających się postaci i szukam, szukam w sobie, w otaczającym mnie świecie, w przyrodzie tego znaku tajemniczego, który jest pojęciem pięknym, pięknym zrozumianym jasno, trzeźwo, świadomie. Gdy go nie znajduję, kruszę się cały, męcę jak wariat. Ależ bo są, bo istnieją minuty,

¹⁾ Był to właściwie artykuł sprawozdawczy Krajowa (Józefa Tokarzewicza) pt. „Maupassant o powieści współczesnej”, drukowany w trzech odcinkach „Przeglądu Literackiego”, dodatku do petersburskiego tygodnika „Kraj” nr 38, 39 i 40 z 1888 r.

gdy ogarniasz wzrokiem doskonałą całość, jasno ją widzisz i wdzierasz się na wyzyny, skąd odróżniasz każdy szczegół, gdzie jesteś sędzią i krytykiem. Ile wtedy pewności siebie, jakaś moc, jaka królewskość! Coż to jest? Talent czy zdumienie? Ach, jeżeli zdumienie! Czasami pędem wracam do domu i stronie zamkniętej z tą jasnością szczegółów, z pewnością siebie, z barwnością. Wtedy nie boję się własnych zdań, wtedy wiem, że to jest zbyt jaskrawe, a to za mało silne, że ten charakter zblednie, gdy wypiszę zdanie takie, a zmniejszę, gdy napiszę inne. O, minuty, minuty cudowne!... We wszystkim, co piszę, jest dżoz tanety, przosady, napuszonosci i doza książek przeczytanych. Z tym nie poradzisz sobie — to wada niedoświadczenia pisarskiego. Piszę niby realistycznie, a piszę sercem. A tych komunałów, tych codziennych określeń ile! Czasami upadam zniechęcony do siebie i piąć nie miał, a kiedy indziej śród dymu papierosowego rzucam się do pracy i bosko jestem szczęśliwy pisząc.

18.VIII.1889.

W nr 56 „Gazety Kieleckiej” była moja duża korespondencja z Krakowa pt. „Echa krakowskie”. Wywalała ona w Oleśnicy rozmaite rozdzaje skrzywi. Abrałem tam stanczyków, rozbiarałem „Próby rozstroju” i mowę Asnyka ¹⁾, pisałem o „Lituanii” Grottera.

„Głos” zaprosił mnie na stałego korespondenta. Posłałem tam siarczysty wystrzał ²⁾. Ciekawym, czy „Głos” pomyśli o mojej rzszkie pt. „Z dziennika”. ³⁾ Z „Biesiady Literackiej” dotąd nie otrzymałem odpowiedzi. Obecnie leniwo opracowuję nowelę jakąś. A „Wylom”, a „Mekale”?

„Czy zapracuję sobie na maleńki, na czterowierszowy kącik w literaturze?”

16.X.1889.

Dziś, gdy chory, znużony i nadmiernie smutny włókł się na obiad do restauracji, dojrzałem w księgarni na wystawie „Tygodnik Powszechny” i moje nazwisko w szeregu autoriskim ⁴⁾. Wacek ⁵⁾ kupił ten numer (2) i czytaliśmy moją szkic

¹⁾ Korespondencja ta ukazała się anonimowo w „Gazecie Kieleckiej” z 17.VII. 1889 r.

²⁾ Była to broszura Stanisława Tarnowskiego (ogłoszona w czerwcu 1889 r. jako odbitka z „Przeglądu Polskiego”), w której ostro zaatakowane zostały postępowe dążenia młodzieży galicyjskiej i obóz demokratyczny. Żeromski polemizował z nią w swoim artykule.

³⁾ Chodziło o mowę na zgrupowaniu wyborców miasta Krakowa, wygłoszoną 1. VII. 1889 r. W dniu 4. VII. odbyły się wybory posłów na sejm, w których zwyciężył Asnyk, uzyskując w głosowaniu przewagę nad kandydatem stanczyków, prezesem Akademii Umiejętności — Józefem Majerem.

⁴⁾ Dnia 9. VIII. 1889 r. wysłał Żeromski do redakcji „Głosu” artykuł pt. „Spod Stopnicy”, który został wydrukowany w nr 35 z 31.VIII. 1889 r. pod anagramem Eksmistrz. Korespondencja ta przyniosła ostrą krytykę wyzysku chłopów przez kler w pow. stopnickim, krytykę ułasku ekonomicznego chłopów w Galicji oraz jawdowite charakterystyki „eleganckich barbarzyńców”, ewierpianków” ze sfery ziemian-skiej.

⁵⁾ Były to szkice pt. „Pisę prawo”, „List miłosny” i „Zapomnienie”. Pierwszą nowelę drukował „Głos” w nr 49 z 7. XII. 1889 r., publikacji drugiego utworu sprzeciwiała się cenzura, natomiast trzeci w ukazał się dopiero w nr 32 z 13. Głosi” z 8 i 15. VII. 1891 r.

⁶⁾ Był to „Tygodnik Powszechny” z 12. X. 1889 r., w którym Żeromski zadebiutował jako pisarz (nie licząc wierszy młodzieńczych i wcześniejszych korespondencji).

⁷⁾ Jan Wacław Machajski, kolega szkolny Żeromskiego.

pt. „Ach, gdybym kiedy dożył tej pociechy...” W. Gomułki obciął końcowe wyrazy, wskutek czego utwor wiele na wartości stracił.

Jest to jedyny promień w życiu pełnym smutku. Chory, wściekle chory i gotujący się na śmierć, spędził dni w rozmyślaniach samotnych. Zaczynam doznawać rozdrażnienia, szczególnie w nocy bezsenne, które zdławiają i potrają się teraz. Pisać dla chorych oczu nie mogę. marzę więc tylko i szereg utworów. Jak w kalejdoskopie rysują się w gorączkowej imaginacji.

12.XI.1889

Tydzień temu „Tygodnik Powszechny” drukował moją „Elegię” ¹⁾ uworek dosyć niczego. „Głos” jeszcze szkiców nie zaczął i licho wie, kiedy zacznie. W ogóle głosowicie obrażeni są na mnie: nie bywałem w redakcji, nie chodziłem do Popławskiego ani do Hłaski ²⁾ — zresztą Wasilewski ³⁾ powiadomił ich zapewne o absenteizmie we mnie socjalizmu...

26.XI.1889

Tydzień temu pani Aniela Rzażewska ⁴⁾ zaprosiła mnie listownie na nauczyciela syna jej (rs. 300). Mam wyjechać i grudnia. Tymczasem... ręka po zagojeniu się całkowitym rany, próchnicę w dalszym ciągu widocznie zaczyna. Nieznośny, nieopisaną ból szarpie mnie aż w ramieniu i łopacie i, co najgorsza, konieczność użycie operacji zabija mnie moralnie, odbiera możliwość pracy i wyjazdu do Lysowa. Jestem zgnębiony, zgnieciony duchowo, cierpię. Nieraz ogarnia mnie rozpacz straszna, gdyż widocznie spróchnięcie cały...

Dziś spotkałem się z Potockim ⁵⁾ (Bohuszem). Szkice moje znowu mają wejść na stół redakcyjny.

— Duża u was bieda? — pyta Bohusz.

— He-hej, panie redaktorze, „ani w bajce opowiedzieć, ani piórem opisać...”

— Czemuż nie piszecie?

— Czemuż nie drukujecie mi szkiców?

— Popławski chwalił — popchnę, zobacz...

Nedza przechodzi wszelkie europejskie pojęcie; obłady pożeram u Jasia Z ⁶⁾ — poza tym czasami piję herbatę. Oczy mię bolą ciągle. Śmierć nadchodzi — lecz ja pragnę roku tylko jeszcze życia w spokoju. Napisać muszę książkę, gdzie wypowiem, że historia mego czasu była przedmiotem mego badania i bólu mego serca.

Stefan Żeromski

¹⁾ „Elegia” była drukowana w nr 5 „Tygodnika Powszechnego” z 2. XI. 1889 r.

²⁾ Jan Ludwik Popławski (1854—1908) i Józef Hłasko (1858—1934) byli współredaktorami i — obok Bohusza — głównymi publicystami pisma.

³⁾ Zygmunt Wasilewski (1865—1947) był kolegą Żeromskiego w gimnazjum kieleckim i później, podczas pracy w Muzeum Rapperswilem. Podówczas pełnił on funkcję urzędnika w Muzeum Etnograficznym na Bagateli.

⁴⁾ Aniela z Dobrzyńskich Rzażewska była wdową po Adamie Rzażewskim (1844—1885), literacie pisującym pod pseudonimem Aer; mieszkała wówczas w majątku swych rodziców — Lysowie na Podlasiu.

⁵⁾ Józef K. Potocki (1854—1899), literat i publicysta społeczny, od 1887 r. współredaktor „Głosu”.

⁶⁾ Napięte w oryginale po rosyjsku — rosyjski zwrot przysłówiowy, zaświadczyli m. in. u Ostrowskiego („Nie wio kotu masłianina”, I, 7) i Jerszowa („Konioł-Garbanok” 3).

⁷⁾ Jan Zydler (1867—1934), kolega Żeromskiego z gimnazjum kieleckiego, po ukończeniu matematyki został wybitnym pedagogiem i autorem podręczników szkolnych.

STANISŁAW WYGODZKI

F. C. W.

Inicjałami sygnował listy, inicjały widnieją pod dedykacjami: te inicjały przeczytałem kilka dni temu, gdy opóźnioną pocztą doręczono mi powieść „Lissy oder die Versuchung”, wznowioną właśnie przez Dietza w Berlinie. Książka wysłana przez Franza Carla Weiskopfa została mi doręczona po jego śmierci.

To był chyba najbardziej zaskakujący zgon bliskiego mi człowieka. Zmarł nagle, nie przechorowawszy ani jednej godziny. Sędziwy Arnold Zweig napisał w nekrologu, w imieniu Niemieckiej Akademii Sztuki: „Anscheinend in der Blüte der Gesundheit, raffte ihn eine Embolie hinweg, ohne Schwächung durch Krankheit, ohne Vorahnung, ohne Leiden.”

Zweigowski „raffen” — porywać, zagarniać — najlepiej chyba określa bolesne zdumienie, jakie ogarnąć musiało ludzi dotkniętych wieścią o zgonie Weiskopfa.

Odszedł w pełni sił, w toku realizacji licznych zamierzeń i kształtowania nowych planów na lata najbliższe. Preżny, niespokojny, pełen inwencji i pomysłów, energiczny, niezmiorny w koncepcjach twórczych, redakcyjnych, wydawniczych, gotów w każdej chwili służać radą — takim był i takim pozostał w pamięci ludzi, którzy go znali. Zapamiętamy tego komunistę, który był poetą, dramatopisarzem, prozaikiem, reportażystą, eseistą, krytykiem, językoznawcą, tłumaczem, zbieraczem anegdot i dziwactw leksykalno-językowych.

F. C. W. urodził się w Pradze, w

również przeciwko własnemu ludowi, F. C. W. opuszcza kraj rodzinny i znajduje schronienie w Niemczech. Będzie to pierwsze, ale nie ostatnie tajemne przekroczenie granicy. Powtórzy się ono w życiu walczącego pisarza wielokrotnie, by w bliższych i dalszych stronach świata szukać schronienia przed prześladowcą.

W latach 1928—1933 przebywa więc w Niemczech, podróżuje wiele, dwukrotnie odwiedza Związek Radziecki i w owych latach zasłynie, jako jeden z pierwszych autorów książek o Związku Radzieckim. Dwa tomy reportaży: „Umsteigen ins 21. Jahrhundert” oraz „Zukunft im Rohbau” ogłoszone w 1932 roku u Malika w Berlinie, odegrały olbrzymią rolę. Reportaże te pisane z poletem, żywo, z dowcipem i dociekliwością, jaka cechuje tego nieodrodnego ucznia E.E. Kische, ukazały zdezorientowanym masom, — którym puze, przewroty faszystowskie i zdrada zadają niedojedny cios, — prawdę o wielkim i pięknym trudzie budowy socjalizmu — wówczas na 1/6 kuli ziemskiej. Wiara w rewolucję, w wielkość Związku Radzieckiego, wiara w niezwykłą siłę klasy robotniczej, której przewodzi Komunistyczna Partia — oto co sprawiło, że utwory te ukazały całą prawdę zarówno o trudach, w jakich się rodziła rewolucja, jak i perspektywy, jakie ona stwarza dla uciśnionych mas i ujarzmionych narodów. Że nie była to wiara pona, świadczy fakt, że ten sam F. C. W. w 20 lat później napisał tom reportaży „Reise nach Kantan” o wolnych, budujących socjalizm Chinach Ludowych. Z tego okresu pochodzą jego znakomite przekłady poezji i pieśni ludowych. A właściwie źle to określiłem: to już nie są przekłady z języka chińskiego, lecz przyswojenie rodzimej pieśni i ojczyste poezji trwałych elemen-

tów poezji i pieśni dalekiego ludu.

W roku 1933 F. C. W. przebywał w Niemczech, gdzie wraz z Becherem, Lukacsem, Bredelem, Rennem tworzył załazek, a następnie rewolucyjną organizację pisarzy proletariackich: pisze, redaguje czasopisma, agituje. Przypadkowe moje ówczesne spotkanie z jego wspaniałym utworem „Dwa wagony z Niżne Verecke” kazało śledzić za twórczością nieznanego pisarza. W strofach tego wiersza, naiwnych i prostych, na wskroś ludowych, ujawnił się dojmująco bolesny świat w którym nie tylko żywy człowiek lecz również martwy przedmiot używany jest, wbrew swemu przeznaczeniu, do niszczenia i pustoszenia. Nastąpiły częste spotkania z dziełami F. C. W.

W tych latach oraz w późniejszych, powstają tomy opowiadań, powieści w których Weiskopf kreśli w sposób niezwykle kunsztowny, celny i wnikliwy obraz monarchii habsburskiej. Każda powieść to przekrój poprzez klasy, warstwy i narody rządzone przez Habsburgów, przy tym zadziwia trafność rysunku zarówno sfer bankiersko-obszarniczych jak przemysłowych i oficerskich oraz przedstawicieli mas pracujących. Nie braknie w tej galerii postaci pokrewnych koszmarnie anarchistów, pseudorewolucjonistów śliskich i płaskich w zdradzie, w zginięciu karku przed młynami tego świata. Bogactwo postaci, sytuacji, subtelność w rysunku kobiet, ironia w kreśleniu portretów szulerów i rozbitek, bankrutów żywcich i szalbierzy — oto niezapomniane środki, jakimi się posługuje F. C. W.

Po dojściu Hitlera do władzy wrócił na jakiś czas do Pragi, skąd musł w 1938 roku ponownie uciec, by przemierzyć wiele ładów odległych od kraju, do którego wró-

ci po zwycięstwie nad faszyzmem. Jest już wówczas autorem mnóstwa książek, które stanowią doświadczenie nie poszczególnego człowieka, lecz całych narodów, wiedzających czym jest faszizm i wojna. W rozmowie niższy głos i powie: cała moja rodzina zginęła w Oświęcimiu...

F. C. W. zyskuje olbrzymią popularność: np. jego powieść „Himmelfahrts-Kommando”, którą mam przed sobą w czasie pisania niniejszego szkicu, ukazała się w 1944 roku dwukrotnie w Nowym Jorku potem wychodził w Londynie, Sztokholmie, Kopenhadze, Paryżu, Amsterdamie, Buenos Aires oraz po niemiecku i czesku. W 1947 roku wyda pracę pod tytułem: „Unter fremden Himmeln”, ukazując wielkość postępowej i rewolucyjnej literatury niemieckiej, poświęceni wielu pisarzy, którzy bądź zginęli w obozach koncentracyjnych nie ugięwszy się przed przemocą, bądź na polach walki w Hiszpanii w zbrojnym starciu z faszyzmem: poznaliśmy w tej książce portrety pisarzy, którzy nieustępliwie i uparcie toczyli aż do ostatniego tchu walkę o wolny świat, wolne ojczyzny ludzi pracy.

Ostatnie lata F. C. W. spędził w NRD: stał się obywateltem tego ludowego państwa, jednym z najbardziej czołowych pisarzy, jednym z najwybitniejszych twórców w języku Tomasa i Henryka Mannów, Zweiga, Feuchtwangera i Anny Seghers; wniósł do kultury narodu niemieckiego trwałe wartości, które stały się wspólną własnością wielkich narodów.

Czechosłowacka Republika Ludowa nie zapomni również i tego, że po wojnie reprezentował jej interesy jako dyplomata w Sztokholmie i Pekinie: łatwo sobie wyobrazić z jakim trudem przyzywował się sygnować akta państwowe peł-

nym nazwiskiem a nie inicjałami F. C. W. Chińska Republika Ludowa uczył w zmarłym człowieka, który przybliżył innym narodom wielkość i piękno ludowej poezji i pieśni chińskiej; naród niemiecki uzna jego wielkość pisarską, jego zasługi w dziedzinie krytyki, jego działalność edytorską, lecz nie zapomni, że wzbogacił swoimi przekładami wiedzę o narodach czeskim i słowackim, rosyjskim i chińskim.

Był dowcipny, cięty, nieublagany wobec głupoty ludzkiej, kpiący z małości płaskich duchów. Jeśli nie potrafił bić nieuków i obłudników własnym utworem, odnajdywał w skarbnicy przysłów, anegdot i facyci taką łatkę, która musiała pasować do aktualnej kreatury rozdeptanej i pysznającej się urojoną wielkością. Był przy tym serdeczny dla kolegów, uczynny dla początkujących pisarzy. Umiął sobie zdygnąć ludzi uśmiechem, rozmową, dowodami pamięci. Wśród listów odnalazłem jeden wraz z wycinkiem z jakiegoś prowincjonalnego pisma niemieckiego, w którym znalazł recenzję o jednej z moich książek wydaną w NRD. Uważał za swój obowiązek powiadomić mnie o tym naprawdę niewiele znaczącym wydarzeniu. Gdy zamawiał artykuł o Kischu do książki, która redagował powiedział mi więcej nad to zdanie: napisz co chcesz.

Zachowałem w pamięci Jego uśmiechniętą twarz, dowcip, lotność umysłu oraz tę nienrzędną postawę wobec życia, która cechuje komunistów. Jakż to żal, że Go już nie zobacze więcej w mieszkaniu mieszczącym się w najwzrostnym domu demokratycznego Berlina. Żal ten będzie mniejszy również i wówczas, gdy Go spotkają będą w książkach, w dziele, które żyć będą wśród potomnych.

Stanisław Wygodzki

I
iska cembrowina studni u skraju drogi. Przy studni droga rozszcza się. Jedno odgałęzienie wiedzie w głąb długiej, ciągnącej się parokilometrowym pasmem słomianych strzech wiosce — drugie ku zabudowaniom spółdzielni produkcyjnej, leżącym obok cieni- stych gąszczów drzew i krzewów, które niegdyś były pięknym parkiem. a dziś stanowią pastwisko, wylegarnię komarów i osłone dla smutnych ruin spalonego dworku. W stałym uroczystym mroku parkowym delikatna muzyka komarzego brzęczenia nie ustaje nawet w let- nie południe. Płytkie bajorko zaros- le rzęsą i cien stuletnich drzew znaczy przeszłość i to nie byle jak- ką. Trzysta lat temu w bajorku podowczym czystym jak niebiesko- oka iza, płuśkała się historyczna w literaturze polskiej wydrza a jej właściciel siadywał u brzegu na ławce pod rozłożystym wiązem.

Dworek rodziców pana Paska, o którym wspomina on często w swoich „Pamiętnikach”, przetrwał wiele wieków i wiele wojen, spalili się dopiero trzy lata temu, w czas pokoju. Wkrótce zostanie odbudowa- ny. Na zewnątrz wydawać się bę- dzie taki jak dawniej, nie da się tylko niczym zastąpić tego, co było w nim najwartościowsze: zdrowie, wiekowej stałości ogromnych, ręcz- nie ciosanych modrzewiowych be- lek, których zwęglone resztki leża- obok świeżych sosnowych desek przyszykowanych do odbudowy. Troska o przeszłość, o zachowanie historycznych pamiątek, rzecz nad wyraz chwalebna, absorbuje wiele uwagi i pieniędzy w naszym kraju. Toteż nauczycielka miejscowej szkoły powszechnej zdumiona, że nie przyjechałem do Węgrzynowic tak jak inni panowie z miasta w sprawie dworku pana Paska — nieufnie przyjęła moje zaintereso- wanie współczesnością. Większość mieszkańców też przyjęła mnie nie- ufnie (legitymowany byłem przez władze gromadzie kilkakroć). Dzia- łał instykt samoobrony, poruszałem bowiem w ludziach pokłady nieda- wnych wspomnień, jakie starali się gruntuć w sobie otrząsając.

Prawdopodobnie wszyscy byliby zadowoleni, gdybyśmy interesowali się — tak jak to dotąd robiły władze wojewódzkie i powiatowe — prze- de wszystkim panem Paskiem i dworkiem jego rodziców. A ja nie. A ja uparcie interesowałem się Szczepanem Trachtą.

II

Niedziela. Zabawa będzie dopie- ro wieczorem, teraz zbliża się po- łudnie. Szczepan Trachta ma jesz- cze sporo czasu. Jakże to głupie — myśli — wszyscy cieszą się z nie- dzieli jak idnic, dla mnie wszyst- kie dni jednakie. Eh!

To — eh! — wypowiedział nie- spodziewanie tak głośno, że aż od- biło się echem: Eee-h! Eee-h!

Rozzejrzał się po pustym obcężu, podparł pod boki i wykrzyknął z pełną satysfakcją jeszcze raz i jesz- cze raz i jeszcze. Podobało mu się posłuszne echo. Drząc w czystym powietrzu leciało nad świątynią nie- rucho- ma, spokojna wioska. Szczepan Trachta roześmiał się głośno i zatupał nogami w tanecznym kro- ku.

— Ej wy tam kawalerka! Stać! — zawołał nagle przez płot w kierun- ku drogi. Trzech wyrostków w szkolnym wieku zatrzymał się w biegu niespokojnie spoglądając po sobie, przestępując z nogi na no- gę. — Ej, wy tam! — powtórzł kierując się w ich stronę. — Co tak droczycie jakbyście się mieli posikać? Pewno znów w karty lecie- cie grać, sikusy? I nie czekając odpowiedzi sięgnął do kieszeni po zatłuszczoną rękę, w której asa za- stępowała dworka trefla a między czerwonymi sercami diawliki kie- rowej wypisane koślawymi litera- mi: Walek winny. — No, ciągnij który. Ja trzymam bank. Pre- dziej.

Kiedy po pół godzinie obliczał na dłoni brzęcące groszaki, każdą mo- netę kwitował pomruk: w karty chce grać jeden z drugim, a jęczy że im starzy forsę nie dają. Jak się smarkom podoba grać z doros- łym, niech płacę. Ze trzy złote te- go będzie. Też — karciarze od gęsi- gania.

Idąc drogą do wsi wciąż jeszcze przelizał upożytywie drobnicę. Za- jęty tym nie zauważył dzieciaków bawiących się na drodze. potknął się o nie niemal dosłownie. Rozśmie- szły go ich przerażone miny. — Won gówniarze! — postraszył i wi- dząc, że porwały się do ucieczki tu- pał nogami w udanej pogoni. „Ja was pętaki wytłukę!” — wołał w ślad za beznadziejnie uciekającymi, popychającymi się i przewracającymi. Chęć do śmiechu odeszła, złość narastała.

Utwierdzał się w niej coraz bar- dziej przypominając sobie poranną kłótnię z ojcem o skradzione koka od roweru: „Draniu. Bandyto!” — słyszał krzyk ojca — „mnie, mnie, rodzonoego ojca okradacie? Ty zgnit- ku. Moczymordio. Ty wyrodku!”. — „Tylko nie wyrodku. Cóż to? Ojciec zapomniał już że jak sam w więzieniu kury macał? Ze jaiko od kury ma- drzejšie? Ja nie jaiko. Zbić się nie dam. Niech ojciec lepiej swoich własnych pilnuje. I niech mnie oj- cieć nie tyka, bo...”

O, psia mać — myśli Szczepan Trachta idąc drogą przez wieś — o, cholera!

Jeszcze trzy razy też niedzieli grał Szczepan Trachta w karty cie- kając na zabawę. Najpierw z Po- ciejęwskim, potem z Kielbasami, miodym i starym. Ale przegrywał

wieć i w czasie gry złość na całą wieś, na cały świat nie przestawa- ła go rozpie- rać. Złość to była pier- wotna. Psia mać — myślał — cho- lera.

Wreszcie doczekał zabawy. U wej- ścia na salę tańca Surkowski przy- trzymał go za poję marynarki.

— Pokaż no Szczepan bilet.

— Jaki bilet?

— Nie udawaj głupiego.

— Fatrzcie go, mądry się znalazł. Uważajcie, żeby wam gęby nie przefasonował — na głupio.

— Coś ty, Szczepku? Widzisz, że urzędowo tu stoje, nie w własnej woli za bilety pobieram. Zrozumie: porządek musi być.

— Zgoda, zgoda — Szczepan Trachta napierał na przytrzymują- cego go całym ciałem — ja też ca- łe życie za porządkiem.

— No, widzisz. Bez mojego bile- tu nikt prawa do zabawy nie ma. To i masz tu dla siebie bilet. Jak ci pieniądze kiedyś podleca, oddasz.

— Może oddam, a może i nie od- dam. — Szczepan pchnął drzwi i wszedł prosto między tańczących.

Sam mała tańczył. Przechadzał się z kąta w kąt. Patrzał. Ale wreszcie znudziło mu się patrzeć na in- nych. Zaprzagnął, aby na niego pa- trzono. Podszedł do bufetu. Zażył- łał wódki. „Bez pieniędzy?” — dzi- wił się dla formy bufetowy. „Jestem biedny ale uczciwy” — odpowie- dział Trachta. — „Pić mogę, ale przepiając ciężko zarobione pieni- ądze? O, co to, to nie! Nie namowi- cie mnie do ziego”. Ktoś ze stoją- cych przy bufecie, tuż za plecami Trachty docenił dowcip i roześmiał się przymilnie. Trachta odwrócił głowę, żeby skwitować ten uśmiech uprzejmym spojrzeniem, lecz wbrew zamiarowi twarz jego przybrała wy- raz wściekłości. Przymilny śmiech urwał się nagle w połowie tonu. Śmiejący się nie mógł zrozumieć, co się stało. A stało się, że Trachta za- uważał wchodzącego na salę Zają- ca.

Zajac przyszedł na zabawę po raz drugi. Był już w domu. Wyciągnę- ła go tam zaraz na początku zono, która przybiegła na zabawę obawia- jąc się, aby nie przepił zarobionej dziś właśnie gotówki. Zajac tłumaczył znajomym: „Zostawiłem wszy- stkie pieniądze. Jej o to tylko cho- dziło, wiecie przecie jakie są baby. Teraz mam już spokój. Do końca”. Dziwnie było słuchać jak ten wy- soki, barczysty chłop ciesząc się powszechnie opinią odważnego usprawiedliwiał się, tłumaczył z za- żenowaniem swą wobec żony uleg- łość.

„Będę miał już spokój. Do końca” — mówił Zajac do znajomków na zabawie i nie przypuszczał, że... Wracął z zabawy jeden z ostat- ních późną już nocą, zmęczony a przecież wesół i nie zauważył nawet skąd się wziął nagle tuż przed nim, na środku drogi, Szczepan Trachta.

W ciemną, zamkniętą koronami starych drzew ciszę nocy nad dro- gą wtargnął krzyk mordowanego człowieka. Tu i ówdzie w oknach wczorajszych czworaków zamiesz- kałych przez dzisiejszych spółdziel- ców zamigotały światła: byli tacy co uszyszeli krzyk.

Ale na drogę nikt nie wyszedł.

III

Obok niskiej cembrowiny studni stojącej przy drog roztaju, leży długa żerdź z wielkim zardzewia- łym gwoździem na jednym końcu zwana przez „tutejszych” — kul- ką. Patrz na żerdź służącą do wyciągania ze studni wiadra z wo- dą i usiłując z jej wyglądu wywnio- skować czy jest ona stara czy no- wa. Może ta sama, naprawiona tyl- ko? Ludzie na wsi są przecieź oszczędni... I staje mi przed oczami fotografia złamanej żerdzi, którą oglądałem wśród akt „sprawy Szczepana Trachty z Węgrzynowic osk. z art. 225 § 1 KK.” w sądzie wojewódzkim w Łodzi. Fotografia żerdzi leżała obok innych fotografii przedstawiających bezwładne, na- gie ciało potężnego mężczyzny z krwawymi ranami na głowie, pier- siach i podbrzuszu. W toku śledz- twa morderstwo dokonane na Aloj- zym Zajaczu zostało odwzorzone w przerażającej wprost szczegółowo- ści.

Pierwsze ciosy wymierzone były w głowę. Sprężyna opatrzona oło- wianą kulą świszcząc zataczała raz po raz półkrąg między ręką na- pastnika i głową ofiary. Zajac już po pierwszym uderzeniu stracił przytomność, po drugim zaczął się zataczać, po trzecim upadł na ko- lana. Inny, słabiej zbudowany czło- wiek dawnoby nie żył — Zajac jed- nak podświadomie, resztką sił za- częł czołgać się w kierunku studni ruszając ciężkim ciałem po ziemi, jak ryba w sieci. Morderca pozwo- lił mu się czołgać, gdyż spostrzegł właśnie, że olowiana kula urwała się ze sprężyny przy trzecim cio- sie i upadła na ziemię. Przyschylo- ny nisko szukał jej dobrą chwilę, systematycznie macając rękami. Kiedy podniósł głowę zobaczył, że ten którego chciał zabić, wciąż ży- je i nie ustaje w swej pełzającej, oślepłej wędrówce. Spokojnie, nie śpiesząc się podszedł do półleżą- cego, stanął nad nim. Nie kopną, nie o pobicie chodziło, od razu chwycił żerdź opartą jak zwykłe o cembro- winę studni, sprawdził z której strony znajduje się gwóźdź i zaczął dźgać leżącego tak długo, aż ten za- stygł w bezruchu. Wtedy odszedł. Po chwili wrócił jednak i znów chwyciwszy żerdź zaczął nią okla- dać trupa. Tak zapamiętał się w tym blichu bezwładnego ciała, że bił- by i biłby bez końca, gdyby żerdź nie pękła naraz z suchym trzaskiem.

Morderca nie przynaję się do

OPOWIEŚĆ KRYMINALNA

STEFAN KOZICKI

winy. Ale każdy jego krok, każdy ruch został odwzorony, omdierzo- ny, dokładnie zaznaczony czerw- nym i niebieskim ołówkiem na pla- nie wsi znajdującym się w aktach sprawy. Morderca odmawia zeznań. Ale mówią za to mieszkańcy wsi, wśród których — rzecz szczególna — nie znalazł się ani jeden świadek obrony, tylko sami świadkowie oskarżenia.

„W nocy około godziny trzeciej dokładnie nie pamiętam, gdyż nie posiadam zegarka — brzmi zezna- nie stróża nocnego, świadka Bąka — zaczął szczełać pies. Wyjrzałem wówczas przez okno w mojej bud- cie i zauważyłem człowieka zbliża- jącego się od drogi... Trachta Szczepan wszedł do budki, gdzie usiadł na stołku przy piecu. Ja zapomnia- czy już jest po zabawie i jak na niej było. Odpowiedział mi, że już po, ale że pobili się trochę Zajac Alojzy z Surkowskim Janem. Ja słysząc to obśmiałem się i powie- działem: chyba to ty się pobiliś, a nie Surkowski. Trachta słysząc, że ja nie wierzę, aby Zajac pobił się z Surkowskim powiedział mi, że mi coś pokaże, że b y t y ł k o t o s i ę n i e w y d a ł o. Otworzył następnie drzwi od budki, przechylił się i sięgnął po coś ręką. I pokazał mi żelazną sprężynę. Sprężyna składała się z dwóch czę- ści to jest metalowej i drewnia- nej, rączka własnej roboty miała około 10 cm a grubość 2 cm. Wbiła w nią sprężyna trzymała się moc- no, sprężyna była fabrycznej ro- boty. Trachta powiedział, że tą sprężyną pobił Zajacą, ale że oder- wał mu się z czubka kawałek oti- wu. Trachta Szczepan dał mi na- stępnie sprężynę do ręki mówiąc abym obejrzał, to jeszcze zobaczę na niej krew. Ja oglądałem, lecz przy słabym świetle nic nie mogłem zobaczyć. Trachta wówczas zabrał sprężynę ode mnie, dotknął do go- rącego pieca, tak że sprężyna się rozgrzała i z o b a c z y ł e m j a k z t e j s p rężyny n a p o d ł o g ę z a c z ę ł a k a p a c k r e w. Wywnioskowałem, że krew zamarzała i dopiero po na- grzaniu zaczęła wydobywać się na wierzch. Potem Trachta zapropono- wał mi, żebyśmy poszli pod studnię to zoś zobaczę. A potem zasnął”.

Czytając zeznanie Bąka w mieście wojewódzkim, na kilka dni przed przybyciem do wsi, która dotąd by- ła sławna modrzewiowym dwor- kiem imię pana Paska, a od niedaw- na zasłynęła okrutną sławą mor- dery, z trudnością mogłem uwie- rzyć w ich prawdziwość. To, że Trachta tuż po dokonaniu morder- stwa (bez świadków) poszedł się nim pochwalić, sam poszedł szukać głów- nych świadków oskarżenia, ur- ragało wszelkiej logice. Zagad- ka z łatwością dałaby się wytłumaczyć naszą szczególną cechą narodową — wódką. Niestety, świadkowie zeznali wyraźnie, że Trachta był nieco podпиты, ale nie pijany.

Trudno mi było uwierzyć zezna- niom Bąka. Musiałem uwierzyć jednak po przeprowadzeniu wielu rozmów na miejscu morderstwa, po przeprowadzeniu wizji lokalnej, nie tyle w faktograficznym ile w psy- chologicznym sensie. Szczepan Trachta był w całym swoim nastro- jonym na nutę przekleństw życiu — aktorem. Nie byle jakim staty- stą, ale aktorem pierwszorzędym. Szczepan Trachta jak każdy awan- turnik czy chuligan nie umiał grać przy pustej widowni. Wszystko co czynił, czynił na pokaz. Gwizdy wśród widzów brzmiały w jego uszach jak oklaski. Jak każdy sław- ny aktor gardził w istocie publiką, wierzył, że nikt z widowni nie mo- że go strącić ze sceny.

Szczepan Trachta potrafił sterro- ryzować całą wieś. Kilka razy oskarżany o popełnienie mniejszych przestępstw zawsze potrafił wymi- gać się od kary. Był pewien bez- karności. Byli o niej także przeko- nani mieszkańcy Węgrzynowic. Mówiła mi nauczycielka: „Z Trach- tą to wszyscy byli b a r d z o g r z e c n i i”. Zrozumiałem, bo z Trachtą „lepiej było nie zaczynać”

Za to on z a c z y n a ł. Często. Zbyt często. Szczepan Trachta czuł nieprzepa- rty potrzebę pochwalenia się przed publicznością największą swą rolą, rolą mordercy. M u s i a ł pójść do Bąka. Był tak dalece pewien si- ły swego terroru, że nie przypu- szał, aby ktokolwiek zdobył się na odwagę zeznawania przeciw niemu. Na podstawie dotychczasowych swych doświadczeń tak bardzo przekonany był o liberalizmie i be- zsilie milicji oraz sądów, że wroc- tował, zachowywał się wprost bez- czelnie: „Nikt mi nie nie udowod- ni!” zaś sofozowi samochodu odwo- żącego go do aresztu oświadczył wprost: „Dobrze mu tak — dono- sicielowi. Zajacą spotkało to, co po- winno. Ważny ormowiec był. Do czasu...”

Nie bardzo myślił się Trachta w swoich obliczeniach. Bąk przeczy- łaś milczał dość długo, żył pod pre- są strachu jeszcze przez parę dni, już po osadzeniu Trachty w aresz- cie. Mit bezkarności i terroru awan- turnika działał na odległość, nawet poprzez więzienne kraty. Nie wiele myślił się Trachta w liczeniu na da- łą — już po dokonaniu morder-

stwa — bezkarności. Tylko przypa- dek sprawił, że rola jaką przypisy- wał morderstwu, dalsze zastraszenie wsi groźbą, której nie musiałby na- wet wypowiadać, ponieważ dzia- ła- ła by sama pamięć faktu: „Uwaga. Kto stanie Trachcie w poprzek dro- gi tego spotkać może los Zajacą. Ostrożnie, nie dotykać. Świeżo ma- lowane krwią!” — stanie się nie- realna. Milczał dni parę Bąk, mil- czałby może dłużej. Może i inni świadkowie milczeli by także, gdyby nie p r z y p a d e k : Sama ofia- ra wskazała swego mordercę.

W ciele Zajacą przytaliła się resz- ka życia, której sprawa nie spo- strzegł odchodząc od — jak mu się zdawało — trupa. Zajac znalazłony na drodze wczesnym rankiem i od- niesiony do domu żył jeszcze dwie godziny i na chwilę odzyskał przy- tomność, jakby specjalnie po to tyl- ko, aby na pytanie znajdującego się właśnie w izbie milicjanta odpowie- dzieć wyraźnie, powtórzyć po trzy- kroć w obecności licznie zgroma- dzonych sąsiadów: „to był Trachta. Młody Trachta. Szczepan Trachta. Szczepan”.

A więc zadecydował przypadek, jaki — każdy musi to przyznać — nie jest notowany zbyt często w hi- storii kryminalistyki.

Tylko dlatego ormowiec Zajac zwyciężył ostatecznie chuligana Trachtę. Niestety — dopiero po śmierci.

Tylko dlatego wieś wyzwoliła się od terroru. Niestety — dopiero przez zbrodnię.

IV

Stoję przy niskiej cembrowinie studni, w miejscu gdzie droga roz- szcza się na dwa rozgałęzienia — do wsi i do spółdzielni produkcyj- nej wodopad. Pod znajdującym się nieopodal lokalem GS-u kilka do- niosłych głosów wymyśla przedsta- wicieli rady gromadzkiej: Ze ty- godniami trwa remanent, sklep zamknięty, nie kupię nie można. Ze kielbase w remanentowym zamknię- ciu robaki zgnoili. Ze papierosy pleśń zarla, a makę myszy. Ze...

Na podwórzu dawnych czwora- ków odpoczywają leżąc na zapasku- dzonej przez gęsi wątej trawie ra- jące zapalczywie kobiety. Na wo- kandyie ich ostrych prokurator- skich języków podreżna knajpa prowadzona w chałupie Hanki Mu- szyny. Czy przewodniczący GRN też do niej chodzi? Czy dwadzieścia złotych za kwaterek wódki to aby nie za dużo? Czy dolewa do tej wódki wodę?

Inne namiętności, sprawy dnia po- zwiedniego, zaczynają przesłaniać sprawę morderstwa na roztaju drog obok studni. Czasem tylko sta- ry Piechota lubi je wspomnieć po- ło tylko, aby snuć rozważania na temat: „Nie tak się bawiono w daw- nych czasach. Inaczej jak dzisiaj. Wszystkie zabawy w karczmie od- prawiano, ale żeby krew miała le- cieć to nie daj panie Boże, skąd- byż? Ludzie dawniejsi może wię- czej gorzkał pili, ale spokojnie. Po- licyji nie potrzeba było. Tyle, co na drugi dzień rano kopce włosów wokół karczmy leżały. Bo nie wie- cie, że chłopcy nosili wtedy długie włosy i za te włosy się wodził, jak kto silny, wokół ręki je okręcił, wyrwał”.

Sprawę Trachty zamknął sąd.

W Rawie Mazowieckiej, na seji wyjazdowej sądu wojewódzkiego z Łodzi, zapadł wyrok: Morderca ska- zany został na karę śmierci. Śmierć za śmierć, to najpierwotniejsze ro- zumienie kary w historii spo- łem- zeństw ludzkich. Może dlatego wła- śnie mieszkańcy Węgrzynowic mó- wiąc o wyroku, kończą westchnie- niem: „I co się stało, sprawiedliwie się stało”.

Sprawa sądowa została zakończo- na. Coraz mniej mówi się o niej na- wet w Węgrzynowicach. Ludzie wywołani od strachu starają się jak najgruntowniej ze wszelkich wspomnień otrząsnąć. A jednak sprawa Trachty nie została zakoń- czona na sprawie sądowej.

Trachta otrzymał bardzo surowy wyrok. Dlaczego? Jestem przeko- nany, że na wymiarze kary zawży- ło nie tylko rozpatwienie w toku tzw. procesu sądowego pojedyn- czej wsi i surowy wyrok w jed- nej sprawie miał być zarowem prze- strógą dla ewentualnych naśladow- ców Trachty w zbrodni, jak rów- nież tamą w rozwoju tych niepo- żądanych procesów i nastrojów spo- łecznych.

O procesie Trachty była swego czasu wzmianka w prasie codzien- nej. Można się było z niej dowie- dzieć, że kulacki syn i awanturnik, wróg władzy ludowej palający szczególną nienawiścią do spółdziel- czości produkcyjnej i postępu, za- bił średniaka, ormowca, partyjnia- ka i twórcę spółdzielni produkcyj- nej, aby przeszkodzić w rozwoju tej ostatniej. Wzmianka była nie- stety nieprawdziwa; ściśle — me- chanicznie stosująca ogólną praw- dę społeczną do szczególnego wy- padku.

Łatwo sprowadzić wszystko zło do kulaka. Łatwo, zbyt łatwo wygła-

da walka klasowa na wsi, jeśli sta- wia się z jednej strony świetlaną działalność spółdzielców, a z dru- giej ciemne namiętności bandytyw- mu. Jeśli nie chce się widzieć, że w praktyce mogą istnieć inne, bar- dziej skomplikowane układy obu stron walczących.

Prostuję więc informacje prasowe w sprawie Trachty:

1) Szczepan Trachta nie był ku- lackim synem (ojciec jego posiadał 3 ha ziemi z czego 1 ha otrzymamy dopiero z reformy rolnej; sam Szczepan pracował początkowo jako pastuch we dworze, później jako robotnik budowlany).

2) Szczepan Trachta nie był też narzędziem w rękach kulaków (w czasie śledztwa i na procesie miał przeciw sobie zgodną opinię zarów- no bogaczy jak biedaków).

3) Alojzy Zajac, miejscowy dzia- łać społeczny cieszył się w prze- ciwienstwie do Trachty rzeczywi- ście dobrą opinią (podkreślał to sil- nie sąd w uzasadnionym wyroku). Zajac był członkiem partii, pier- wszym sekretarzem miejscowego koka PPR, komendantem ORMÓ, założycielem spółdzielni produkcyj- nej. Bezkompromisowo tępił ban- dytyzm, śledził przestępców, dema- skował chuliganów, brał czynny udział w ich tępieniu. Za to nie- nawidził go Szczepan Trachta. Ale czy Zajac był czysty jak pierw- szy śnieg? W dokumentach oficjal- nych sprawy o zabójstwo nie znaj- dujemy w jego charakterystyce ani jednej ujemnej cechy, chyba tylko informację, że „lubił sobie popić”. Natomiast w Węgrzynowicach każ- dy wie, że Zajac — założyciel spół- dzielni produkcyjnej, z o s t a ł z n i e j u s u n i ę t y. Za co? bagatelka: Nie chciał oddać do spół- dzielni swojej ziemi. Oddał tylko mały skrawek otrzymany z refor- my rolnej, resztę „przepisał na żo- nę”, która do spółdzielni nie wsta- piła). Przyjaciele Zajacą, pragnąc uwatdnić jego zasługi usłuźnie ko- munikowali mi, że miał on tak da- lece dobre serce, iż „pomagał swym kołmi wdowom, kobietom i w ogóle tym co nie mieli własnego sprzężaju. A co najwięcej mu się chwali” — dodawali po chwili — „to, to, że ceny przy tym żadne nie ustalał. Jak kto nie miał za dużo pieniędzy, pozwalał, żeby mu się

Po poddaniu rewizji treści notat- ki prasowej chciałem też uzupeł- nić w pewnej mierze uzasadnienie wyroku. Nie znaczy to, abym był zwolennikiem tezy, że zabójstwo do- konane przez Trachtę miało swe źródło wyłącznie w porachunkach osobistych, świadczą o tym zresztą okoliczności zabójstwa przedstawio- ne już w tym raporcie. Ale p r o b l e m a t y k ę p o l i t y c z n ą a procesu widzę w nieco innej płaszczyźnie niż sąd oraz autor wzmianki prasowej. Trachta był (być może nieświadomie nawet) nie tylko potencjalnym wrogiem wła- dzy ludowej. Walczył czynnie z na- szą władzą o swoją własną władzę.

JAN

Jak się dwaj (Gawęda

B yli sobie dwaj kumotrzy, jednemu Maciej, drugiemu Alojz na imię. Obaj mieli jednakowe nazwiska: po ojcach Derkacze im było. Wiadomo, Derkaczy dużo na świecie, ptaki to są przemysne, pęgođe potrafią przepowiedzieć, lu- dzi niejednego potądku nauczyć. Nasi dwaj Derkacze, choć jednako- wego nazwiska, nie z jednego gniaz- da byli. Jeden był z tutejszych, to Alojz, drugi przybył do wsi zza Bu- ga. Ale to nie wszystko. Ten Alojz był biedakiem na półtora hektara i pięcioro dzieci, samych córek, dru- gi przywiózł ze sobą wór pieniędzy i w niedługim czasie stał się na- bogatszym gospodarzem w powie- cie. Sąsiadowali ze sobą, a wiado- mo, co z takiego sąsiedztwa wyni- ka. Maciej konika, Maciej żyta, Ma- ciejowa maki, grochu, nieraz mleka jak się Alojzowej krowa zapuściła. Potem się jakoś to odrało i to nie na żadne umowy, ale tak sobie. Cza- sem Maciej wspominał mimochod- em, że nawóz trza by mu roz- rzucić, a tu nie ma komu. To Alojz rozrzucił mu ten nawóz. Czasem Alojzowa poszła prać do sąsiadki i to zawsze nie wracała z próżnymi rękami. Taka pomoc sąsiedzka. Jed- nego razu Maciej zaprosił się w kurny najmłodszą córkę Alojzów Maryjkę. Postawił się niezgorzej: beczulka piwa, kilka flaszek litro- wych, kawał płótna. Niby dobrze im było tak razem. Dobrze i niedobrze, bo to Alojz czuł, że jakoś nie jest dobrze. Przede wszystkim miał nie- dobre przeczuć, że to się źle skończy. Musiał być wdzięczny ku- motrowi. Właśnie: musiał. Alojz nie z jednego pieca jadł chleb, służył w wermachcie, obiecał kawał świa- ta i jako dawny poddany pruski wiedział, że nie ma nic za darmo. Nieraz jak sobie uświadomił ile iest winien Maciejowi, włosy mu sta- wały na głowie. Przecież nie odo- biłby tego do końca życia.

Maciej uspokajał go, że nie nie jest mu winien, że to tak po są- siedzku, po ludzku.

— Co ta będziemy gadać po pró- żnicy — mawiał z uśmiechem — do wóita nie pójdziemy. Po sąsiedzku trza żyć. Jak to mówią: ja tobie, ty mnie.

Mimo tych zapewnień współżycie obu sąsiadów zaczynało być jakieś ciężkie. Nie było w tych wzajem- nych usługach równości. Ot, na przykład, poszła Alojzowa po gar- steczkę maki — „aby tylko na za- prażkę” a dostała pełny woreczek, co najmniej trzy kilogramy. Innym razem poszedł Alojz pożyczyc dwa

wywdzięczył w inny sposób”. Za odrodek? — pytałem, a w moim głosie musiało być coś szczegól- nego, slyszalem bowiem w odpowie- dzi: „Nie mówcie t a k ! Zajac nie był kuliakiem, władzę ludową przedstawiał”.

Otóż to: Zajac swym krętaskim stosunkiem do spółdzielni produk- cyjnej szkodził (jeśli weźmiemy pod uwagę jego dobrą opinię i peł- nione przezeń funkcje społeczne) sprawie postępu. Szkodził idei ko- lektywnej gospodarki nie mniej n i ż T r a c h t a — łobuz, złodziej i bandyta.

Kiedy wyjeżdżałem do Węgrzyno- wic przewodnikiem była mi tylko notatka prasowa donosząca o pro- cesie. Radziłszy nad nią w re- dakcji: Trzeba będzie sprawdzić czy po uwolnieniu wsi od Trachty zmienił się stosunek jej mieszkań- ców do spółdzielni produkcyjnej? Trzeba będzie zbadać o ile usunię- cie świadomego wroga szkodzącego spółdzielni przyczyniło się do jej rozwoju?

Dopiero na miejscu, w Węgrzyno- wicach, zrozumiałem jak naiwne to były plany. Spółdzielnia produk- cyjna jest i będzie złą spółdzielnią niezależnie od chuligańskich wy- czynów Trachty. Jak może być do- brą spółdzielnią, w której jest tyl- ko jedna krowa spółdzielcza i jed- na spółdzielcza maciora? Jak mo- że być dobrą spółdzielnią skoro członkowie sprzedali przed przystą- pieniem do niej i konie, i zboże, i wszystko co się do sprzedaży nada- wało, aby jak najmniej w ł a s n e g o dobra wnieść do dobra ogółu?

Po poddaniu rewizji treści notat- ki prasowej chciałem też uzupeł- nić w pewnej mierze uzasadnienie wyroku. Nie znaczy to, abym był zwolennikiem tezy, że zabójstwo do- konane przez Trachtę miało swe źródło wyłącznie w porachunkach osobistych, świadczą o tym zresztą okoliczności zabójstwa przedstawio- ne już w tym raporcie. Ale p r o b l e m a t y k ę p o l i t y c z n ą a procesu widzę w nieco innej płaszczyźnie niż sąd oraz autor wzmianki prasowej. Trachta był (być może nieświadomie nawet) nie tylko potencjalnym wrogiem wła- dzy ludowej. Walczył czynnie z na- szą władzą o swoją własną władzę.

JAN

Jak się dwaj (Gawęda

B yli sobie dwaj kumotrzy, jednemu Maciej, drugiemu Alojz na imię. Obaj mieli jednakowe nazwiska: po ojcach Derkacze im było. Wiadomo, Derkaczy dużo na świecie, ptaki to są przemysne, pęgođe potrafią przepowiedzieć, lu- dzi niejednego potądku nauczyć. Nasi dwaj Derkacze, choć jednako- wego nazwiska, nie z jednego gniaz- da byli. Jeden był z tutejszych, to Alojz, drugi przybył do wsi zza Bu- ga. Ale to nie wszystko. Ten Alojz był biedakiem na półtora hektara i pięcioro dzieci, samych córek, dru- gi przywiózł ze sobą wór pieniędzy i w niedługim czasie stał się na- bogatszym gospodarzem w powie- cie. Sąsiadowali ze sobą, a wiado- mo, co z takiego sąsiedztwa wyni- ka. Maciej konika, Maciej żyta, Ma- ciejowa maki, grochu, nieraz mleka jak się Alojzowej krowa zapuściła. Potem się jakoś to odrało i to nie na żadne umowy, ale tak sobie. Cza- sem Maciej wspominał mimochod- em, że nawóz trza by mu roz- rzucić, a tu nie ma komu. To Alojz rozrzucił mu ten nawóz. Czasem Alojzowa poszła prać do sąsiadki i to zawsze nie wracała z próżnymi rękami. Taka pomoc sąsiedzka. Jed- nego razu Maciej zaprosił się w kurny najmłodszą córkę Alojzów Maryjkę. Postawił się niezgorzej: beczulka piwa, kilka flaszek litro- wych, kawał płótna. Niby dobrze im było tak razem. Dobrze i niedobrze, bo to Alojz czuł, że jakoś nie jest dobrze. Przede wszystkim miał nie- dobre przeczuć, że to się źle skończy. Musiał być wdzięczny ku- motrowi. Właśnie: musiał. Alojz nie z jednego pieca jadł chleb, służył w wermachcie, obiecał kawał świa- ta i jako dawny poddany pruski wiedział, że nie ma nic za darmo. Nieraz jak sobie uświadomił ile iest winien Maciejowi, włosy mu sta- wały na głowie. Przecież nie odo- biłby tego do końca życia.

Maciej uspokajał go, że nie nie jest mu winien, że to tak po są- siedzku, po ludzku.

— Co ta będziemy gadać po pró- żnicy — mawiał z uśmiechem — do wóita nie pójdziemy. Po sąsiedzku trza żyć. Jak to mówią: ja tobie, ty mnie.

Mimo tych zapewnień współżycie obu sąsiadów zaczynało być jakieś ciężkie. Nie było w tych wzajem- nych usługach równości. Ot, na przykład, poszła Alojzowa po gar- steczkę maki — „aby tylko na za- prażkę” a dostała pełny woreczek, co najmniej trzy kilogramy. Innym razem poszedł Alojz pożyczyc dwa

Przypomnę tutaj odwieczną mąksynę: Gdzie władza jest staba — tam przejmują jej atrybuty meły społeczne, awanturnicy i hochsztaplerzy. Taka właśnie sytuacja istniała w Węgrzynowicach. Wszystkim od dawna znane były lajdactwa Trachty — władza nie mogła go jednak ukarać. Brak dowodów czy brak operatywności i siły? Wszyscy znali wyczyny Trachty — od ściągnięcia butów z nog pijaka od ogołocenia z całego umeblowania i sprzętu świetlicy ZMP. Trachta od dawna nosił się po wsi z listą „wrogów do ukarania” i pokazywał każdemu, kto chciał oglądać, swoją sprężynę. Myślałem dotąd, że walka z chuliganstwem i awanturnictwem jest trudniejsza w mieście niż na wsi. Awanturnika w mieście nikt nie zna, występuje anonimowo w dużych skupiskach, może uciec w boczną uliczkę, skryć się w tłumie przechodniów. Naczej na wsi gdzie go wszyscy znają. Dopiero w rezultacie wizji lokalnej w Węgrzynowicach przekonałem się, że rzeczywistość na wsi z chuliganstwem jest i n a c z e j a l e — jeszcze trudniejsza. Sprawa zlikwidowania swolowego terrorku wprowadzonego przez pasożyta typu Trachty, łatwiejsza byłaby do przeprowadzenia w większych skupiskach ludzkich. Na małym terenie jednej czy kilku wiosek powstrzymywała działanie miejscowych władz gromadzkich obawa przed zbyt nimbem liberalizmem wyższych instancji karno-administracyjnych i sądowych. („Posadźmy Trachtę na dwa tygodnie lub miesiąc, to jak wyjdzie będzie się mścił, prokurator i sędzia daleko, a my na miejscu, przez miedzę”). Tak rozumowały miejscowe władze i dlatego aby zachować „święty spokój”, wszyscy byli dla Trachty „grzeczni”, niegrzecznie uparty pozostał jeden Zajac. A kto wie? Gdyby Zajac nie był tak w swej „niegrzeczności” osamotniony — może nie doszłoby do zbrodni?

Na temat owej — mówiąc ogólnie — stabości nowych władz gromadzkich wobec mełw społecznych zdobywających w oparciu o ukrytą w kieszeni sprężynę władze niemal równoległą, miałem interesującą dyskusję z tow. Najderem, instruktorem KP w Rawie Mazowieckiej sprawującym m. in. pieczę nad organizacją partyjną w Węgrzynowicach.

— Sprawa Trachty dowodzi, że wybieranie sąsiadów do organów władzy ma swoje niebezpieczeństwa, nieprawdaż? — zagadnąłem niby to żartobliwie instruktora. A tow. Najder całkiem poważnie potwierdził mój sąd i jeszcze go rozwinął:

— Autorytet nowej władzy ludo-

wej — mówił — oparty jest na dobrowolnej społecznej umowie. Autorytet władzy burżuazji i obszarników, którą świetnie pamięta jeszcze wielu chłopów, oparty był na fundamencie terrorku i strachu. Mocno n a d o j a d ł a chłopom granatowa policja, mocno n a d o j e d ł i dziedzice bijący byle za co po gbie, ale...

— Rozumiem — przerwałem — elementy awanturnicze wykorzystują tradycję władzy „sprawiedliwego dziedzica”, który dlatego był sprawiedliwy, że choć mocno bił, nie rzadko zaraz potem stawiał pobitemu kwaterek wódki z własnej kieszeni. Stwarzając wokół siebie atmosferę strachu i rozzuchwaleni bezkarnością awanturnicy, zdobywają autorytet w oczach tych, dla których synonimem władzy zgodnie z prawdowością dawnego ustroju jest brutalna siła, autorytet równoległy, choć ideologicznie przeciwny autorytetowi naszej władzy. Dlatego też walka z chuliganstwem to nie tylko walka o udrożnienie pewnych grup młodzieży, ale walka o przywrócenie pełnego autorytetu dla nowej władzy odrzucającej metody oparte na strachu, a przyjmującej metody wychowawcze, opierające się na stałym wzroście świadomości wśród mas. Ale, ale... Czy nie zauważacie w tym, towarzyszu Najder, pewnej sprzeczności? Przecież przyczyną zdobywania pozorów władzy przez chuliganów i awanturników jest m. in. zbytne pobłażanie im z naszej strony, zgoda anielska wiara w magiczny wpływ różnorakich akcji wychowawczych i stosowanie ostrych kar tylko w wyjątkowych wypadkach?

Tow. Najder nie dał mi wyczerpującej odpowiedzi, spieszył się zwyczajem wszystkich aktywistów, spotkałem go w drodze z jednego zebrania na drugie. Odpowiedź dali mi sami mieszkańcy Węgrzynowic.

Po moim parudniowym pobycie we wsi, powszechnie było już wiadomo, że z nieokreślonych bliżej przyczyn interesuję się sprawą Trachty. I na równi z początkowo wyraźnie niechętnym informowaniem o niej, zaczęto pod koniec pobytu udzielać informacji chętniej, żądając jednak w zamian informacji ode mnie. Z nieudanym strachem, patrząc mi niepewnie w oczy, ludzie pytali:

— Panie, a nie wyjdzie za rok, niby za dobre sprawowanie jako przodownik?

— Panie, a nie przekręca go tam we wzięciu? On taki sprytny, powie, co na kulaków się przysła... Może z nominacją na państwową

(Dokończenie na str. 7)

BRZOZA kumotrzy powadzili opolska)

mało. Tłumaczył się, że nie ma, że może na drugi rok, bo mu nie obrodziło. Narzekał na podatki i w ogóle wykręcał się jak mógł. Poszli w końcu do niego trzej gospodarze z komitetu trójkowego — Piotr Wyżół, Jan Krajewski i Franc Baj, głowicze nie lada i jak się to mówi: wygadani. Dyskusja z Maciejem była żywa, argumenty padały przekonujące, ale cóż z tego, kiedy Maciej uparcie twierdził, że ziarna nie posiada.

— To gdzieście podzieli ziarno? — rzucił pytanie Wyżół. — Zjeżdżcie, czy jak? Przecie wiemy ile macie pola i łąskie zebrali.

— Ile mam tyle mam — odpowiedział Maciej — sprzedać musiałem na podatki.

— To znaczy się, że ni macie nic? — rzucił pytanie Baj.

— A ni mam.

— To wasze ostatnie słowo?

— Ostatnie.

— Dobrze, to my przyjdziemy skontrolować. Mam prawo jako komitet, bo jest ustawa.

Na tym skończyli i odeszli. Po chwili przyszedł mały Jasięk, syn Macieja i wyrecytował przed Alojz, że — „tata kazali żębyści przyszli”. Westchnął Alojz, mruknął i wzruszwszy ramionami poszedł. Zastał Macieja siedzącego za stołem bardzo markotnego. Maciej na widok sąsiada rozjaśnił twarz w swój zwykły uśmiech i poprosił go do siadania zaczął narzekać.

— Widzicie, kumotrze, co mnie spotkało — mówił zmieniając wyraz twarzy na bardzo zasmucony — na moje stare lata za moją pracę. Kontrolować przyjdą.

Alojz odchrząknął i usiadł wiedząc z góry, co teraz nastąpi. Oto Maciej zaproponuje „wypić kawkę, co to jeszcze tam gdzieś mam schowane od świat”. Zawsze była to litrówka napelniona do połowy. Stało się tak jak przewidywał. Stała na stole fiaska, z sąsiedniej izby ukazała się Maciejowa z miską pełną chleba i kiebasy. Zaczął się poczęstunek i narzekania. Maciej się rozirzeźwił mówiąc jak to on pracuje, jak się stara i teraz za to wszystko masz, kontrola. Po chwili churzenie zlagodniało i kumoter nachyliwszy się do Alojza zaczął z innej beczki.

— Ale bo wicie z tą kontrolą może wyśić niedobrze, o niedobrze.

— Co mo być niedobrze — odparł Alojz — przeca ni macie nic.

— Nie wicie to jak to jest? Zawsze to coś mogą znaleźć i się przyczepić. Wicie co, kochany kumotrze,

może zrobimy tak: mam te pare worków ziarna, ale to nie moje, to już sprzedane na podatek. To bym się u was schował.

— Ale, jak to! — próbował oponować Alojz.

— Co wam to szkodzi! Kumotrzy jesteście, to jak jedna familia. Moje krzywdy chcecie? Zrobimy tak: weźmiemy worki i przeniesiemy do was przez płot. tak raz dwa i po krzyku. No, chodźmy!

Maciej zerwał się i pociągnął za sobą Alojza. Zrobił się natrączywy, rozkazyjący. Ruch jakim popychał Alojza nie był wcale przyjacielski. To był ruch człowieka, który ma prawo rozkazywać. To się właśnie nie podobalo Alojzowi. Kilka kieszekowych wypitych wzmożło niezadowolnienie. Odepchnąwszy Macieja wyszedł na dwór. Za nim Maciej. Alojz pchnął furtkę i znalazł się na ulicy. Maciej za nim. Alojz ruszył ku środkowi wsi, Maciej za nim. Szamotali się obaj i kłócili. Było to bardzo ciekawe widowisko i ludzie wychodzili przed domy, aby popatrzyć i posłuchać. Najlepiej jednak całą tę kłótnię powtórzyła Bajowa, znana na całą wieś „komentatorka”. Toteż z niebawem wprawa spayała słowami, jak mąką spod byłta.

— Śli, gadał, ciągali się za obczywki — mówiła Bajowa — toś ty taki kumoter, gada Maciej. Jaki ja tobie kum, gada Alojz. Oba my kumy i oba Derkacze gada Maciej. ptak ptakowi nie równy, gada Alojz. Piniądze ci pożyczalem, bezdnie tego że dwa tysiączki, z krwawicy mojej żyłes, a teraz nie chcesz pomóc? Nie chce, gada Alojz. To oddaj, co ci dałem. Oddam, gada Alojz. Oddaj, ale zaraz, bo cie do sądu oddam. Oddaj do sądu, ale twoich worków nie bede chował. Oddaj, bo bede bił. Bij, gada Alojz. To Maciej go raz. Bij jeszcze raz za to, że ja musza być twoim sąsiadem. To Maciej go znowu raz. Bij za to, że ty mój kumoter i za to, że musza brać od ciebie wszystko. To Maciej go znowu raz i raz. A terazki bij za procent i jeszcze raz i jeszcze raz. Tak go Maciej tłukł ile wiało, a tamtem nic, tylko rachował, a jak se już porachował, tak Alojz gada, styknie, terazki ja ciebie raz i bydymy mieli spokój. Dał mu Alojz raz, ale tak, że tamtego zanieśli do domu.

— No i wydalo się wszystko z tym Maciejowym ziarnem. Ale kumotrzy oni, chociaż Derkacze, nie bedom.

Jan Brzoza



Rys. K. Baraniecki

Jerzemu Cwierni

W sobotę centrum miasta wygląda tak samo jak i w każdy inny dzień tygodnia. Jest tylko więcej pijanych; w knajpach i barach, autobusach i bramach, wszędzie unosi się zapach przetrąconego alkoholu. W sobotę miasto traci swoją pracowitą twarz — w sobotę miasto ma pijaną mordę. Natomiast w centrum miasta, w sobotę, nie ma ludzi, którzy lubią obserwować życie; stać w bramach, włożyć się po ulicach, godzinami siedzieć na ławce w parku, po to tylko, aby za lat dwadzieścia móc sobie przypominąć, że tego to a tego dnia widziało się mniej lub bardziej dziwny traf życiowy. Tak jak posłańcy chadżający jeszcze podczas okupacji w czerwonych czapkach, tak jak handlujący suchym, piaskiem, jak podwórkowi śpiewacy o przepitych tenorach — w centrum miasta wymarli obecnie obiektywni obserwatorzy życia.

Obserwatorów życia można spotkać jedynie na przedmieściu. Życie przedmieścia zawsze było i jest bardziej zgaszczone, na przedmieściu w każdą sobotę, kiedy jest pogoda, ludzie wynoszą krzesła przed domy; odwracają je tyłem i usiadłszy okraciem obserwują życie. Upór obserwatorów życia nosi czasem w sobie znamiona genialnego obojęt; czasem siedzą w ten sposób całe życie i nie widzą nic prócz twarzy obserwatora z przeciwka. Potem umierają z głęokim żalem do świata, z przekonaniem o jego szarzyźnie i nudzie, gdyż rzadko kiedy przyjdzie im na myśl, że można podnieść się i pójść na sąsiednią ulicę. Obserwatorzy życia na starość stają się niespokojni. Miotają się, patrzą na zegarki; jest to jeden ze śmiesznych nawyków starych ludzi — pragną ratować czas. W pewnym okresie chciwość życia i wrażeń staje się u nich silniejsza niż u dwudziestolatków. Dużo gadają, dużo myślą; uczucia ich są dzikie i tępe zarazem. Potem gasną szybko i spokojnie. Umierając, wmawiają wszystkim, że żyli szeroko. Impo- nent chwałą się sukcesami u kobiet, tchórze — bohaterstwem, kre- tyni — mądrością życia.

Pan Gierek — z zawodu malarz pokojowy — od czterdziestu lat mieszkał na Marymoncie i od tylu lat obserwował życie swej dzielnicy. Owe soboty pan Gierek także siedział przed swoim domem w ogródku i beżmyślnie patrzył w ulicę. Od czasu do czasu spłwiał i obliżywał spieczoną wargę; wygasający dzień był upalny i dręczący. Pan Gierek był ciekawego w dniu dzisiejszym, nikt nie zламаł nogi, nikt nikogo nie pobił i pana Gienska ssało uczucie pustki i nudy — kopnął psa, który nawinął mu się pod nogę i ponuro ziewając patrzył w ulicę. Była pusta, przejeżdżające z rzadka samochody podnosiły tumany rozparzonego piasku. Kiedy stracił już całą nadzieję na ujrzenia kawałka życia, uczuł, że ktoś trąca go w ramię. Podniósł senne oczy i zobaczył swego sąsiada, Maliszewskiego.

— Chodź pan — powiedział Maliszewski.

— Gdzie?

— Niedaleko.

— Po co?

— Chcesz pan coś zobaczyć? — powiedział Maliszewski. Był to niski człowiek o dobrodusnej twarzy i chytrych oczkach. Ruchy jego — mimo pozornej ociężałości — były szybkie i zwinne jak ruchy młodego kota.

— Co jest? — zapytał pan Gierek: ziewał, był zmęczony upałem.

— Chłopak — powiedział Maliszewski.

— I co z tego?

— Satyra — powiedział Maliszewski. — On jest z dziewczyną. Już pan rozumiesz?

— Jasne — rzekł pan Gierek. Podniósł się: w serce jego wstąpiła

nadzieja. Zapytał z ożywieniem:

— Ładna?

— I ładna, i młoda — rzekł Maliszewski. — Mówię panu: dobra robota tam odchodzi. — Nagle zniecierpliwił się: — Idziesz pan czy nie? — zapytał

— Nic z tego nie będzie — powiedział pan Gierek. — Zanim my tam dojdziemy, to oni skończą. Mówię panu, że nic z tego nie będzie.

— Oni nie mają po pięćdziesiątce, tak jak pan — powiedział Maliszewski. — Mogą się bardzo długo bawić w ten sposób. Ja jak byłem młody, to też mogłem się w ten sposób bawić godzinami. Naprawdę tak było. Wstąpimy po mojego szwagra i poskoczmy tam, chce pan? On już wrócił z roboty i chętnie pójdzie z nami. O, patrz pan, już idzie!

Rzeczywiście, ulicą szedł młody, tegi mężczyzna. Rękawy koszuli miał podwinęte, w zębach trzymał trawkę. Oczy jego były senne i drwiące, powieki — ciężkie.

— Heniek — zawołał Maliszewski — pozwól tu na chwilke!

Heniek zbliżył się i oparł o płot. Czoło jego było mokre od potu, usta — spieczone.

— Cześć — powiedział. Co u pana, panie Gienu?

— Heniek — powiedział Maliszewski — chodź z nami.

— Gorąco — powiedział Heniek, obliżał wargi i westchnął: — Nie ma czym oddychać. W taki upał nawet światem by nie stanął. Gdzie chcecie skoczyć?

— Bylem na działce — rzekł Maliszewski. — Widziałem chłopaka z dziewczyną.

— Szmata? — zapytał Heniek. Wypluł trawkę, potem zerwał nową i przygryzł ją mocnymi zębami.

— Skąd — powiedział Maliszewski. — Mówię ci: młoda i ładna. — Możemy poskoczyć — powiedział Heniek. — Ty mnie znasz: ja lubię popatrzeć na życie. Jeśli dziewczyna będzie brzydka — zwrócić się do Maliszewskiego — to ty coś dzisiaj postawisz.

Ruszyli i szli szybko wśród działkowych ogródków. Ludzie przychodzili tu po pracę, aby doglądać swych kartofli, pomidorów i marchwi. Teraz jednak było pusto: parny, dretwy dzień zmęczył wszystkich — ludzie siedzieli w domu.

— Duszo — powiedział Heniek. — Ja nie nie mogę robić w taki dzień. Głowa mnie boli cały czas.

— Tamtych też chyba gorąco — powiedział pan Gierek.

— Myślę — rzekł Maliszewski. — My ich ochłodzimy. Tak, Heniek? — W zeszłym roku — powiedział Heniek — tutaj też przychodził taki jeden gość z dziewczyną. Całe lato tu przychodzili.

— I co?

— Nic. Pewnie nie mieli mieszkania.

— Pobrali się? — zapytał z wyśilkim Gierek. marzył o szklance zimnego, gorzkiego piwa.

— Nie wiem. Może i tak, że się pobrali. Też była ładna dziewczyna.

— Blondynka? — zapytał znów Gierek; nie a nic go to nie obchodziło. W dalszym ciągu czuł dręczącą pustkę i niesmak.

— Brunetka — rzekł Heniek. — Pamiętam ją jak dziś. Ten facet był blondyn. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna chodzi z takim lachudrą.

— Nie wiem — mruknął pan Gierek. Spłwiał gęstą śliną. Był zły na Henika; przypomniał mu, że on sam ma brzydką i dość głupią żonę. Powiedział. — Pewnie jakaś szmata.

— Może?... Teraz cicho — rzekł Maliszewski. Poszedł przodem, oni szli za nim wolno, starając się nie robić hałasu. Było już szarawo. Słońce uciekło, na trawie kładły się błękitnawe cienie. Maliszewski w pewnym momencie odwrócił głowę i zawołał cicho: — Chodźcie! Podeszli na palcach kilka kroków

i zobaczyli chłopaka z dziewczyną. Leżeli obok siebie. Dziewczyna oparła swoją głowę o ramię chłopaka i przytuliła się do niego całym ciałem. Leżeli zmęczonymi miłochami i upałem, byli młodzi i ładni oboje — jedno ciemne, drugie jasne. Nie mogli mieć więcej jak po osiemnaście lat. Sukienka dziewczyny była uniesiona: miała długie, mocne, brązowe nogi.

— Ładna — rzekł Heniek. — Bardzo ładna.

— Mówilem — powiedział szepem Maliszewski. Stali w milczeniu; pan Gierek znów obliżał wargi i pomyślał o swojej żonie z dręczącym nagiego wstrętem. Maliszewski uśmiechał się głupkowato. Heniek jeszcze bardziej opuszcł ciężkie powieki i przestępował z nogi na nogę. Nagle zapytał z rozdrażnieniem:

— Robimy coś?

— Ty — powiedział Maliszewski. — Zrób im coś takiego, żeby się nie pozbierali ze śmiechu do końca życia. Ty to możesz zrobić, Heniek.

— Heniusz — powiedział pan Gierek — najlepiej ich nastraszyć. — Przykniął palcami i powtórzył: — Ona jest strasznie ładna. Już dawno nie widziałem takiej dziewczyny. Jeszcze dziecko. Nie powin- ni tego robić. — Nagle zniecierpliwił się i rzekł do Henika: — Zrób im coś, bo jak nie, to ja im bombę zasunę.

— Czekaj pan — powiedział Heniek. — To już lepiej ja.

Patrzył chwilę na brązowe uda dziewczyny i na twarzy jego malowała się męka. Potem wyszedł ze drzewa i stanął przed młodym. Zmrużywszy oczy, rzekł:

— W tatę i w mamę się bawicie? Smaczno!

Maliszewski i pan Gierek wybuchnęli śmiechem. Chłopak zerwał się na nogi i wyjąkał:

— Czego pan chce?

— Niczego — powiedział bardzo wolno Heniek. Stał przed chłopakiem i kołysał się na nogach. Głżył w dalszym ciągu trawkę i spłwiał zielonkawą śliną. Potem powiedział: — Uwazaj jak jedziesz, kochany. To ci przyszedłem powiedzieć. Zawsze uważaj jak jedziesz.

Maliszewski wyszedł zza drzewa i stanął obok Henika.

— Ładna dziewczyna — powiedział patrząc na nią burymi oczkami. — Ja bym sam chciał taką zapoznać. Może się zapoznamy, proszę pana?

— Idiota — powiedziała dziewczyna. Stała za chłopakiem: była czerwona i zdenerwowana. Pan Gierek patrzył jak drżą jej szczupłe plecy i raz jeszcze pomyślał że wstrętem o swojej brzydkiej, grubej i nieforemnej żonie.

— Ty, ty, mała — powiedział Maliszewski; oczy nabiegły mu krwią ze wściekłości. Powiedział szybko, jakby się dusząc: — Ty jesteś zwyciężajna kurwa, rozumiesz? Ja mam, córkę starszą od ciebie, ty kurewko.

— Niech pan stąd odejdzie — powiedział chłopak, błagalnie patrząc im w oczy. — Ja pana proszę, niech pan stąd odejdzie. Myśmy panu niczego nie zrobili. Ja pana strasznie proszę.

— Kogo ty prosisz, Janek? — powiedziała dziewczyna — tego starego durnia?

— Zamknij swojej pani mordę — powiedział Heniek — bo inaczej ja jej zamknę. I sam też nie pajacuj. Mówię ci: zamknij jej mordę.

— Sam masz mordę — powiedziała dziewczyna. Patrzyła na niego z pogardą. Była nieprzytomna ze zdenerwowania, lecz usiłowała się roześmiać szyderczo. — Bydlak — powiedziała i wybuchnęła płaczem.

— Ej, ty — powiedział Heniek i szarpnął ją za rękę. — Komu ty wymyślasz? Przychodzisz się tutaj puszczać i jeszcze coś mówisz? Chłopak szarpnął się; uderzył Henka w twarz — raz i drugi. Stało się to tak szybko, że Heniek zdążył tylko zamrużyć oczami. Lecz w następnej chwili złapał chłopaka za włosy i trzasnął twarzą w swoje kolano. Potem uderzył go pięścią w usta i rzucił na ziemię.

— Dostę, proszę klienta? — zapytał. — Jak nie dostę, to ja mogę klienta obsłużyć dodatkowo. Taryfa ulgowa: tu jest bardzo miły klient. — I wybuchnął stekiem najpluśgawszych obelg. Zamknął oczy, lecz ciągle widział brązowe, długie nogi dziewczyny.

— Chodź, Janek — powiedziała dziewczyna. Otarła chłopakowi twarz z krwi. Rzekła do nich: — Policzymy się jeszcze. — I kiedy odeszli już parę kroków, krzyknęła histerycznie: — Jesteście stare szmaty, nie mężczyźni!

Wracali do domu. Znów szli wśród ogródków działkowych.

— Parno — powiedział Heniek — prawdopodobnie, że będzie padać.

— Westchnął i rzekł: — To była ładna dziewczyna. Dlaczego jej powiedziałeś, że jest kurwa? Przecież jej nie znasz. Skąd mogłeś wiedzieć?

— Ja przecież nie powiedziałem, że ona jest taka — rzekł Maliszewski. — To ty przecież powiedziałeś.

— Ja?

— Ty.

— Nie wygłupiaj się. Ja jej wcale nie znalazłem.

— Ja ją znalazłem — powiedział Maliszewski. — Ja już ię tutaj widziałem nie pierwszy raz. Oni się bardzo kochają.

— Co będzie dalej? — zapytał Gierek.

— Nie wiem co będzie dalej. Ale wiem, że oni z sobą chodzą. I wiem, że oni dzisiaj pierwszy raz z sobą.

— Skąd? — zapytał leniwie pan Gierek.

— Słyszałem, jak ją prosił. I on się bał, i ona się bała. Słyszałem, jak się namawiali. Bał się dziecka, tak mówili. Ale chyba bardziej siebie.

— Tak zawsze bywa ten pierwszy raz — powiedział Heniek. — Ja się też bałem.

— Każdy się bał tego pierwszego razu — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty go trzasnąłeś?

— Sam chciałeś.

— Nie wiedziałem, że to tak będzie. On do niej tak dziwnie mówił...

— Jak?

— Nie pamiętam.

— Chmurzy się — powiedział pan Gierek.

— On właśnie coś mówił o chmurach — powiedział Maliszewski. — Jakiś wiersz. Mówię wam: oni się kochają.

— Już teraz nie będą się kochać — powiedział pan Gierek. — Będą siebie mieli dosyć na zawsze. Po takim czymś nie będą mogli patrzeć na siebie. Niepotrzebnie to wszystko wyszło.

— Ja już wiem — powiedział Maliszewski. — Przypomniało mi się. On tak jej mówił, że jak on ją tego, to będzie ich pierwszy krok w chmurę. On to mówił, tylko że do wiersza. A ona tylko: „boję się, boję się” i płakała.

— Może się bała bólu?

— Nie myślę — rzekł Maliszewski. — Nie myślę, żeby się bała bólu. To przychodzi potem. Życie, inni ludzie, płotka. Ale ten pierwszy raz, to naprawdę jak w chmurach. Zakończani niczego nie widzą.

— My też? — zapytał Heniek.

— Oni teraz już nie będą się kochać — powiedział pan Gierek. — Ja sam wiem, że jak by mnie coś takiego spotkało, to bym już potem nie kochał dziewczyny. — Zmarkotniał nagle: znów ssała go pustka. Wyszli z ogródków i znów szli ulicą.

— Nie — powiedział Heniek. — Oni już teraz nie będą się kochać. Mnie też spotkało kiedyś coś takiego. I nie kochałem już potem tej dziewczyny.

— Każdego z nas spotkało kiedyś coś takiego — powiedział Maliszewski. — Ale po co ty mu dałeś w pysk?

— On mnie pierwszy uderzył — rzekł Heniek. — Zajdziemy na to piwo?

— Możemy zająć. Ta dziewczyna tu już chyba nie przyjdzie.

— Chyba nie — powiedział Heniek. — I za co ty ją tak nazwałeś?

— Moją dziewczynę też tak ktoś kiedyś nazwał — powiedział Maliszewski. — I jak Boga kochał: do dziś nie wiem za co.

— I nie kochałeś się pan już potem?

— Nie — powiedział Maliszewski. Milczał, potem rzekł z nagłą złością: — Dajcie mi spokój, do cholery! Nie wierzę w żadną miłość. Kobięce swojej też nie wierzę. Nikomu nie wierzę.

— Głupia sprawa — powiedział Heniek. Spojrzył na niebo i powiedział: — Chmurzy się. To jak on tam mówił?

— Zdaje się, że krok w deszcz, czy coś takiego — powiedział zmęczonym głosem Maliszewski. — Chodźcie na piwo... Albo o deszczu, albo o burzy... Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nie chce niczego pamiętać. Gdybym nie pamiętał — nie byłoby tej całej awantury.

— Będzie jutro deszcz — powiedział Heniek.

W niedzielę zawsze leje — powiedział pan Gierek. Skrzywił się: raz jeszcze pomyślał o swojej ohydnej żonie, o chłopaku, o dniu jutrzejszym: o ślicznej dziewczynie, o jej długich, brunatnych nogach, o jej piersiach, o jej czerwonych, świeżych ustach, o jej opalonym, silnym karku, o jej zielonych, prze- rażonych oczach i powtórzył bełkotem, gdyż musiał coś powiedzieć:

— W niedzielę zawsze pada deszcz...

Marek Hłasko

DWUGŁOS O MAŁŻEŃSTWIE I MORALNOŚCI

WŁODZIMIERZ MACIĄG

Lęk przed nadmiarem wolności

Drogi Jerzy. Z radosnym zdziwieniem czytałem w „Nowej Kulturze” Twój artykuł „Czy kryzys instytucji małżeństwa?”.^{*)} Po lekturze zastanowiłem się, czy nie zrozumiałem Twoich intencji? Czy w artykule Twoim są jakie istotne niedopowiedzenia? Bo — żeby sprawę od razu postawić jasno z Twoimi spostrzeżeniami, z obawami, z zaskakującą tezą końcową nie tylko nie mogę się pogodzić, ale nawet — uważam sobie za obowiązek przypomnieć o paru sprawach, o pewnych zasadach świata, który chcemy stworzyć, a których Ty z nie-zrozumiałą dla mnie małodusznością zaczynasz się lękać.

„Nie żenie się i nie wychodzę za mąż zbyt młodo, bo ściąganie tym na swoje głowy największe nieszczęście”. Cytuję Twoją maksymę życiową dla młodych ludzi na samym początku z dwóch przyczyn. Od niedawna zaczęła moja polemika. Po drugie: abyś sobie ją przeczytał raz jeszcze wyrwana z kontekstu. Czy wiesz, że pod Twoim budującym nakazem obyczajowym z satysfakcją podpisywały się pani Dulski? Nawet afektywana stylistyka Twojego „krzyczącego tytułu” jak go nazwawszy przypomniała jej secesyjny salon. To pani Dulski wyznawała zasadę, że jej syn „ma prawo” do młodzieńczej rozpusty, a o żenku pomyśli się wtedy, kiedy się młody wyszumi. Zaraz, zaraz, chwileczkę, nie protestuj, nie wątpię, że Ty do rozpusty nikogo nie chciałeś zachęcać. Dojdziemy kolejno do wszystkiego.

Od setek lat skuteczna reforma życia seksualnego nie daje ludziom spokoju. Ale jeśli z rad poprzednich pokoleń coś zachowało dla nas swą wagę, to walka o swobodę ludzką w tych sprawach. To walka o swobodę zawierania związku małżeńskiego w myśl własnych upodobań i o prawo do jego zrywania. To walka z absurdalnym dogmatem kościelnym o nierozdzielność małżeństwa, wynikiem feudalnych stosunków społecznych, który już w burżuazyjnym społeczeństwie okazał się niemożliwy do utrzymania. Dbałość o to, aby zrywać i burzyć wszelkie fikcje, obłudy i zakłamania, aby oczyścić stosunki między ludźmi, dać im prawo do postępowania w myśl pragnień serca. Tak stawia te sprawy w moim przekonaniu nurt publicystyki wolteriańskiej, ruch emancypacyjny kobiet, klasyczny marksizm. Z przykrością stwierdzam, że wyłamujesz się z tego szeregu.

Bo cóż to znaczy: „nie żenie się zbyt młodo”. To tyle samo co: do pewnego czasu uprawiajcie związki pozamałżeńskie. Tyle co: zdejmiecie odpowiedzialność z waszych przeżyć erotycznych. Tyle co: wiem, że młodzi ludzie muszą się wyszumić, na to przystępnym oczy. Czy zdajesz sobie sprawę, mój Drogi Jerzy, że zamiasz uczyć młodych od-

powiedzialności za swoje afekty, uczysz ich lekkomyślności? Ze nieświadomie popierasz wstrętne przekonanie pani Dulskiej? Ja chcę wiedzieć jak najmniej parów w trawie nad Wisłą i w bramach kamienic. Czy mogą inaczej wyglądać pozamałżeńskie stosunki erotyczne w dobie ciasnoty mieszkaniowej? Młode małżeństwo ma jeszcze szansę na zdobycie pokoju, w pierwszej kolejności im się to zalatwia. Czy Ty naprawdę nie widzisz, że tego typu swoboda prowadzi do rozwiązłości, do czterech par jednocześnie w jednym słudenskim pokoju?

Ja wyobrażam sobie to zupełnie inaczej. Ja chciałbym, żeby młodzi ludzie otaczali najwyższym szacunkiem własne przeżycia, żeby zdawali sobie sprawę, z ich nie tylko fizjologicznej, ale także uczuciowej, moralnej odpowiedzialności. Młodzi ludzie chcą się wcześniej pobierać, chcą dać wyraz swemu zaufaniu wobec siebie, chcą być szlachetni i odpowiedzialni. Ty mówisz im: nie, Zaczekajcie trochę. Powolunku, zastanówcie się. A tymczasem używacie sobie po cichu. Bo przecież dobrze wiadomo, że nasze konwencje moralne nie godzą się z wolną miłością, zwłaszcza w wypadku dziewcząt. Więc zmuszasz te dziewczęta do ukrywania swych przeżyć. Zmuszasz je do stawiania się w podejrzanej sytuacji. Takie skłócenie własnego postępowania z istniejącą konwencją moralną (czy słuszną — to osobna sprawa, nie wypowiadam się) prowadzi w prostą linię do rezygnacji, do pogardzenia życiem seksualnym, jeśli uprawia się je za cenę ukrywania go, za cenę moralnego wykroczenia.

Młodzi ludzie chcą się wcześniej — jak twierdzisz — pobierać. Bzdura! Byłoby przekonywać ich, że to jedynie szlachetne wyjście, ale jeśli już chcą to zrobić, nie zabraniaj im. Bo to jest wyrazem ich troski o godność własnych uczuć, wyrazem ich wiary w siebie i swoje życie, w świat, który ich otacza, nie tylko zawziętym dążeniem do awansu, jak Ty to uzasadniasz. Gazety często publikują rosnące cyfry małżeństw w Nowej Hucie i opatrują je radosnym komentarzem. Ja podzielałm radość. Nie mać nam w głowach, że jest to powód do zmartwienia. Ja wiem, że ci wszyscy młodzi chłopcy pragną poważnie traktować swoje przeżycia erotyczne, swoje dziewczęta. Nie zdejmuj z nich tej pięknej odpowiedzialności, nie zachęcaj do czynicznej swobody przykrytej maską konieczności wyzycia się w młodym wieku. Podajesz rosnące cyfry rozwodów w swym artykule. Cóż warto bezwzględnie cyfry bez kontekstu? Podaj równocześnie jak rosną cyfry zawieranych małżeństw i dopiero porównaj z ilością rozwodów. Różnica tych cyfr może nam coś powiedzieć, nie ich bezwzględna wartość. Bo przyjdzie inny publicysta i powołując się na statystykę Urzędu Stanu Cywilnego będzie dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Zawodna jest naukowość Twoich zestawień.

Nie wiem czy Cię przekonałem. Dodam jeszcze inne argumenty.

Dlaczego człowiek ma najlepsze lata tracić na związki pozamałżeńskie, związki w zamyśle bezowocne? Pragnienie macierzyństwa budzi się u dziewcząt bardzo wcześnie — sam o tym w artykule pod innym tytułem pisałeś. Dlaczego teraz odbierasz im prawo do jego realizacji? Dlaczego sam zachęcasz do postępowania, z którego tragicznych skutków zdawałeś nam sprawę?

Jak więc doszedłeś do Twojego absurdalnego zakazu? Wynika on moim zdaniem z równie niesłusznej przesłanki, która widoczna jest w całym toku dowodzenia. Ukryta ona jest także w Twoim krzykzącym tytule: ściąganie na swoje głowy największe nieszczęście. Otóż nie wiadomo dlaczego i na jakiej zasadzie stawiasz jako ideał nierozdzielność małżeństwa. Oczywiście jako konsekwencja Twojego przeświadczenia wynika teza: rozwód jest złem koniecznym. Jak najmniej rozwodów — to Twoim zdaniem droga do moralnego społeczeństwa. Jerzy, Jerzy, jak mogłeś ulec tej feudalnej sugestii? Dlaczego człowiek ma zawsze być krepowany więzami, jeśli powstają warunki, kiedy nie może ich znieść? Mój Drogi, rozwód zagwarantowany prawem nie jest jako zasada wyrazem ludzkiego oportunizmu, tolerancji zła. Najlepsze umysły walczyły o niego, jżko o zasadę wolności ludzkiej, chciały uniknąć ustawicznego i bezsensownego stawiania ludzi w kolizji z feudalną obyczajowością. Wieki-śmy do tego w Polsce dążyli. I kiedy wreszcie powstały warunki, w których wolno ludziom wiązać się i rozłączać w myśl ich uczuciowych potrzeb, przychodzisz Ty i wystraszony nadmiarem swobody, której — sprytny Heinego — nigdy za wiele, napominasz nierzym stara ciotka: uważajcie, moje dzieci, statystyki notują wzrost rozwodów, demoralizuje się społeczeństwo, bo ludzie nauczyli się zrywać więzy, które im ciążyą. Mój Drogi, humanizm socjalistyczny to wyzwolenie człowieka od trwóg, ciemnoty, chorób, od wierzów, których nie chce dźwigać. Także od niedzi i wyższości. Obdarzenie człowieka szlachetnym poczuciem swobody wewnętrznej, o ile tylko nie narusza ona tych samych praw współtowarzyszys. Czegóż Ty się boisz? Że człowiek nadużywał będzie swej wolności? Groza jest w tych słowach, zapachem inkwizycji od nich poniało. Kogóż zdemoralizował kiedyś rozwód, nawet kilka rozwodów? Może są takie wypadki, może ja o nich nie wiem. Ale naolis mi o tym, udowodnij to. Wręcz przeciwnie, wszystkie przykłady jakie podajesz, mówią zupełnie jasno: rozwód był w życiu tych ludzi koniecznością, uwalniał ich od pożycia, którego znieść nie mogli, odbarzał ich spokojem wewnętrznym, naruszonemu przez niedobre małżeństwo. Był więc dobrem. Był czymś godnym aprobaty. Wieki-śmy o to w Polsce walczyli. I Ty przychodzisz teraz i mówisz jak anachroniczna ciotka: nie żenie się wcześniej, bo się będziecie rozwodzić. No to co z tego? O swobodę decyzji ludzkiej walczyliśmy, o jego szczęście, nieroz-

dzielność małżeństwa wcale nie jest naszym ideałem. Cóż Ty sobie wyobrażasz, że nastanie kiedykolwiek czas, w którym znikną tragedie miłosne? Że ludzie nie będą się już mylić w wyborze i wszystkie pary będą szczęśliwe? O, Boże, Boże, po cóż się biedny Boy tak męczył? Po co się narażał na publiczne obelgi? Przykro mi, ale nic nie zrozumiałeś z jego walki. Setki lat ciążyła ludziom nierozdzielność raz zawartego małżeństwa. I kiedyśmy wreszcie doczekali się swobody, już pojawia się publicysta, który martwi się, że ludzie z niej korzystają.

W całym Twoim obzernym artykule ani razu nie napisałeś dlaczego Ty się tych szatańskich rozwodów tak obawiasz. Dlaczego, powiedz, wyduś to z siebie. Milcząco zakładasz, że w tym względzie istnieje jakieś porozumienie. Tragedie powstają między niedobranymi małżeństwami, więc — Twoim zdaniem — raczej nie żenie się, aby się potem nie rozwodził. A czyż te same tragedie nie powstają wśród ludzi nie związanych prawnie? Nie widzisz tego koło siebie? Więc to nie małżeństwo jest przyczyną ich istnienia, w złym miejscu szukasz wroga. Nie powiesz chyba, że opowiadając się za nieskrepowanym rozwodem jestem za prawnie usankcjonowaną rozpustą? Wtedy stanąłbyś w rzędzie przeciwników Boya. Wręcz przeciwnie, jestem zdania, że ponoszenie prawnej konsekwencji przyczynia się do zmniejszenia istotnej rozwiązłości, nie tej, którą rejestruje Urząd Stanu Cywilnego, bo takiej nie ma. O, Boże, Boże, jakiej ja argumentacji używam! Teksty pozytywistycznych publicystów trzeba przypominać — jako postępowe — socjalistycznemu pisarzowi. Ot, przytoczę Ci Twoje zdanie: „Przyniesie (Twoje dobre, nierozdzielne małżeństwo, zawarte w późnym wieku — przyp. mój) także zniechęcenie i rozczarowanie, a może nawet — przelotną miłość do innego człowieka, którą trzeba będzie prędko wyrzucić z siebie i wykarzować: tak nakazuje rozsądek i doświadczenie, wsparcie zaufaniem, rozsądek i miłością drugiego małżonka...” No tak, oczywiście, lepiej według Ciebie nawet tolerować zdradę niż zdecydować się na rozwód. Wielki Honoriuszu, na próżno napisałeś Komedję Ludzką!

Ale być może jeszcze jednej rzeczy obawiasz się i zapomniałeś o tym napisać. Dzieci, dzieci ponoszą największą szkodę wskutek rozwodów, one się demoralizują. Znowu muszę westchnąć: w którym ja wieku żyję? Bvó może istnieją dzieci, które zdemoralizował rozwód rodziców. Pokaż mi takie wypadki, może Ci uwierzę. Bo tymczasem jestem innego zdania: dziecko demoralizuje się właśnie widząc obok siebie zdradę, którą Ty wolisz tolerować. Zdemoralizowane dzieci wyrastają obok rodziców, którzy się kłócą, biją, upijają, którzy z domu robią piekło także dlatego, że nie decydują się na rozwód. Może nawet w myśli mówią sobie: „w imię szczęścia dziecka”. Ja znam wokół siebie dzieci rozwiedzionych ro-

dziców, których to w najmniejszym stopniu nie zdemoralizowało. Obawiam się, że trudno byłoby Ci przytoczyć przecienne wypadki.

Ale dobrze: rozwód przynosi także materialne konsekwencje. Obarcza najczęściej wychowaniem dziecka matkę, która sobie nie może dać z tym rady. Otóż widzisz, mój Drogi, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowieka od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samotnie, czy nawet porzucone mężczyźni, ludzie po to zorganizowali socjalistyczne społeczeństwo, aby człowiek od tych problemów uwolnić. Żeby człowiek mógł swobodnie stanąć o swoim losie, żeby się rozwodził jeśli ma ochotę, bo społeczeństwo mu pomoże, jest jego sojusznikiem. Istnieją matki, które samot

Z życia ZLP

Wieczór poezji Lucyny Krzemienieckiej

8 listopada sala zebrała w Domu Literatury nabitą była do ostatniego miejsca. Dom ten po raz pierwszy chyba gościł tak licznie rozmaite publiczności. Obok białych jak kłęb bawełny włosów Heleny Bobińskiej, obok polyskiewki tyśiny Leona Pasternaka, obok wielu znanych z posiedzeń Sekcji Literatury dla Dzieci twarzy, sala roi się od białych bluzek i czerwonych, harcerek chust. Sala szczebiocze i ćwierka, bystra jak potok, ujarzmiana jednak od czasu do czasu półgłosnym upomnieniem ojca, matki, wychowawcy, czy nauczyciela.

Sekcja Literatury dla Dzieci i Młodzieży z serdeczną pomocą Teatru Kukielki „Baj”, Polskiego Radia i Artystów scen warszawskich urządziła Wieczór Poezji Lucyny Krzemienieckiej. Tak to brzmi w wersji oficjalnej, ale nieoficjalnie to wieczór ten ciepły, wzruszający szczerą był pomysłem i dziełem przyjaciół Lucyny, których poezja miała wszędzie, gdziekolwiek zjawiała się ze swoimi wierszami. Janina Porazińska — pierwsza nauczycielka i pierwszy krytyk twórczości osiemnastoletniej Lucyny, pamięta ją jako młodą, śliczną dziewczynę, nieśmiało stojącą na progu redakcji przedwojennego „Pióreczka” z plikiem pierwszych utworów. Dlatego może przemówienie Porazińskiej, otwierające wieczór nacechowane było ciepłem bliskiego wspomnienia.

„Baj”, z którym Lucyna współpracowała od wielu lat, wprost z Ostrołęki, gdzie właśnie grał dla dzieci, zjawiał się punktualnie w Domu Literatury, by pokazać pełną dynamikę scenę ze sztuki „Baśń o skąpcu Szczęśliwym”, napisanej przez poetkę niedługo przed śmiercią. Bezpośrednio po spektaklu „Baj” ruszył w powrotną drogę do Ostrołęki.

Andrzejowi Boguckiemu, recytującemu utwory Krzemienieckiej i śpiewającemu jej piosenki, głos się zalał, kiedy ostatnim słowem zamknął uroczystość.

Ale najbardziej wzruszające były dzieci. I te na sali, które przyszły z opiekunami, i te z chóru Polskiego Radia, które pod kierunkiem Feliksa Rybickiego śpiewały pieśni Krzemienieckiej. Kolorowa scenka teatru kukielkowego, kolorowe dzieci, ich głosy świeże i czyste odbarwily uroczystość z jej żalobnego charakteru. Na sali było ciepło i pogodnie.

A dorosli? Niejednego z nich prawdopodobnie, tak jak mnie, zaskoczyło bogactwo i różnorodność wierszy Krzemienieckiej. Z ust wykonawców płynęły strofy prawdziwej poezji. Wiersz „Trzy rzeczy i ptaszek” zadziwiał, do jak subtelnych syntez literackich zdolna była poetka. W prostym kolkankowym wierszu zmieszała jej się i prawda o otaczającym świecie wraz z próbą filozoficznego uogólnienia, i spostrzeżenie zjawisk przyrody podpatrzone wnikliwie, i dobór słów artystycznych tak zestrojonych

z elementami treści, że utwór staje się podobny do głosu natury.

Ten sam precyzyjny ton zabrzmiał w „Leci niteczka” i przedśmiertnym, ostatnim „Skrzatku”.

Świat, opisywany przez Krzemieniecką jest światem czystości i piękna, atmosferą towarzyszącą słowom i sytuacjom kryształową. Mimo to nie jest to świat różowych okularów, ale świat widziany w głębokim wzruszeniu, w jakiejś ogromnej sile perspektywy naszego życia. Dla Krzemienieckiej „socializm”, „pokój”, „budowa” to kamienie węgielne pod jej wiarę w sześciu los dziecięcy, w bogaty rozwój życia, dlatego pozwala ona ludziom i ptakom, i wodzie, i chmurem, i deszczom, i burzom, i najdrobniejszym nawet żyjątkom prawdziwym i wymyślnym kapać się w słońcu i radości.

Wieczór ten przypominał, ile poetka wie o życiu przyrody. Wiadomości jej nie są nabyte z podręczników, to są przeważnie jej własne doświadczenia, wynikające z podziwu godnej zdolności obserwacji, zaskakującej subtelnością, oryginalnością, są ciekawe, celne, świeże. Dzięki nim świat w jej wierszach staje się bogaty w zjawiska, tajemniczy i wspaniały. W ten świat dziecko idzie za Krzemieniecką urzeczone fantazją, poetycznością, a znajduje gdzieś na końcu drogi najprawdziwszą rzeczywistość. Uczy się i pamięta. Towarzyszy tym intymnym sprawom między dzieckiem a poetką półśmieszek lub uśmiech od serca, szczerza pogoda.

A „Jaś Kapelusznik”? Niby to samo. Fantazja, humor i „nauka o rzeczach”. Autorka zwraca uwagę dziecka na tazy kszycyca. Jaś nie może utracić kapelusza na miarę głowy tajemniczego przybysza, bo ten zjawia się za każdym razem inny, to chudy jak tyczka, to gruby jak bał.

Wiersz jest zabawny, bardzo ciekawie skomponowany w narastającym nastroju. Ale jest tu i coś więcej. Atmosfera tego wiersza, nazwać by ją można umownie kszycycowa, czy magnetyczna, atmosfera, która pewno niejednemu gorliwemu pedagogowi niejedną wątpliwość napędzała do serca, wiąże ten utwór nierozdzielnie z okresem dzieciństwa, w którym wspaniałe świat jest najdziszniejszą ze wszystkich, a prawda o nim o wiele jaśniejsza za daleka, za trudna.

Garskie tych refleksji na marginesie wspomnienia, poświęconego przedwcześnie zmarzemu poetce, ma tylko ten cel, by podbudzić krytyków, wywołać odruch do sięgnięcia po dzieła Lucyny Krzemienieckiej w przeciwnym bowiem razie wejdzie ona „bez świec” do historii naszej literatury, wprowadzona tam tryumfalnie przez najmłodszą pokolenia.

Wanda Zółkiewska

Prenumerata czasopism naukowych i popularno-naukowych na rok 1956

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, którego nakładem ukazują się niżej wymienione czasopisma Polskiej Akademii Nauk, towarzystw i instytutów naukowych oraz Min Szkolnictwa Wzyszego prosi czytelników o zabezpieczenie sobie dostawy tych czasopism w r. 1956 przez jak najrychlejsze zamówienie ich w prenumeracie.

Prenumerate przyjmują oddziały „Ruchu”, urzędy pocztowe oraz Centrala Kolportażu „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12 (nr konta PKO dla wpłat: 1-6-100.020).

Poniżej wymieniono tytuły niektórych czasopism ukazujących się nakładem PWN. Informacje o czasopiśmie z zakresu fizyki, chemii, techniki itd. znajdują Czytelnicy w katalogach PWN.

(Przy każdym z tytułów podano cenę w prenumeracie rocznej).

FILOZOFIA — EKONOMIKA

Mysli Filozoficzna, dwumiesięcznik — z1 90
Mysli Filozoficzna — Przekłady, kwartalnik — z1 20
Ekonomista, dwumiesięcznik — z1 60
Ekonomista — Przekłady, kwartalnik — z1 20
Przegląd Statystyczny, kwartalnik — z1 48

ORGANIZACJA NAUKI — OGÓLNE

Nauka Polska, kwartalnik — z1 80
Sprawozdania z Czynności i Prac PAN, kwartalnik — z1 80
Biuletyn Polskiej Akademii Nauk (Dwie serie: a) w jęz. rosyjskim, b) w jęz. zachodnio-europ.):
Wydział II, miesięcznik z1 120
Wydział III, miesięcznik z1 120
Wydział IV, kwartalnik — z1 40
Zycie Szkoły Wyższej, miesięcznik — z1 80

HISTORIA I NAUKI POMOCNICZE HISTORII

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki, kwartalnik — z1 100
Kwartalnik Historyczny, dwumiesięcznik — z1 90
Kwartalnik Historyczny — Przekłady, kwartalnik — z1 20
Przegląd Historyczny, kwartalnik — z1 60
Kwartalnik Historii Kultury Materialnej, kwartalnik — z1 80
Wiadomości Archeologiczne, kwartalnik — z1 76

FILOLOGIA

Kwartalnik Neofilologiczny, kwartalnik — z1 60
Meander, miesięcznik — z1 60
Przegląd Orientalistyczny, kwartalnik — z1 60

NAUKI O ZIEMI

Czasopismo Geograficzne, kwartalnik — z1 40
Poznaj Świat — Magazyn Geograficzny, miesięcznik — z1 36
Przegląd Geograficzny, kwartalnik — z1 60
Przegląd Geograficzny — Przekłady, kwartalnik — z1 48
Przegląd Meteorologiczny i Hydrologiczny, kwartalnik — z1 36

NAUKI PRZYRODNICZE

Acta Societatis Botanicorum Poloniae, kwartalnik — z1 92
Chronmy Przyrodę Olszową, dwumiesięcznik — z1 24
Kosmos (Seria A) — Biologia, dwumiesięcznik — z1 60
Kosmos (Seria B) — Przyroda nieożywiona, kwartalnik — z1 48
Wschodni, miesięcznik — z1 48

CZASOPISMA INSTYTUTU POLSKO-RADZIECKIEGO

Kwartalnik Instytutu Polsko-Radzieckiego, kwartalnik — z1 60
Sovietica w Polsce — Kwartalny Przegląd Bibliograficzny, kwartalnik — z1 60

NOWE CZASOPISMO-MAGAZYN

W początku grudnia ukaze się pierwszy numer czasopisma Polskiego Towarzystwa Geograficznego

POZNAJ ŚWIAT

Magazyn geograficzny

Nowe czasopismo ukazywać się będzie w wielobarwnej szacie graficznej. Cena 12 zł. Cena prenumeraty na I półrocze 1956 r. z1 18.

*

KATALOGI PWN

Ukazały się i będą dostępne w księgarniach oraz w bibliotekach następujące wydawnictwa katalogowe PWN: Katalog PWN 1951-1955 (Książki) — Katalog Skryptów dla Szkół Wyższych — Katalog Czasopism Naukowych 1955/56.

Katalogi wysyła na żądanie Dział Propagandy PWN, Warszawa, Krak. Przedmieście 79.

PWN

JAN STRZELECKI

O dysproporcjach naszej socjotechniki

Marksizm jest wielką szkołą przewidywania. Zachodnio europejskiej empirystyki, tkwiącej od kołyski aż do grobu we względnie uporządkowanym świecie mieszczkańskiej egzystencji, nie bardzo wychodziła z ram, nie bardzo celują w rozumieniu jego porównawczego ducha, wyrwywającego się w za daleką — jak dla nich — przyszłość, pełną światła i nadziei. Chwała sobie, jak Popper, małą inżynierię, czyli stopniowe reformy i przeciwsławiają je wielkiej rewolucyjnej inżynierii jako córce ducha, który według nich stracił miarę i przewidywanie, to czego podobno żadną miarą przewidywać nie da — to znaczy pomyślnie skutki zniszczenia rewolucyjną drogą prywatnej własności środków produkcji. Te przewidywania nie są według nich sądem naukowym, lecz pro-roctwem. Tak mówią dumni są ze swej potęgą, która nikogo nie wodzi na pokuszenie. Teorię społecznych przemian chętnie sprowadzają do wymiarów hipotez na temat możliwego wpływu ilości samochodów na zmianę obyczajów. Ich naukową poprawność powołują im co najwyżej na poniższe sformułowania technię duchem ascetycznej ścisłości: „przy dzisiejszym stanie wiedzy o społecznych przemianach możemy powiedzieć jedynie to, że dochodzą one do skutku dzięki współdziałaniu wielu czynników, z których jedne zależne są, a inne niezależne od człowieka” (Gillin).

I oprzyj tu, człowieku, jakiegokolwiek masowe działania na tym teoretycznym piasku nagromadzone skrzętnie przez powściągliwych empirystów. Na tym dopiero leć ujrzyć można jakby na nowo wielkość i odwagę myślową marksowskiej socjologii. Socjologii typu „18 Brumaire’a”, „Dwóch taktów”, typu prac Mao Tse-tunga o chińskim społeczeństwie i chińskiej rewolucji. Socjologia ta ogarnia śmiało dynamikę działań wielkich zespołów ludzkich na długiej przestrzeni lat. Jej przewidywania, daleko sięgające w przyszłość, są dla sceptyków prorocztwami, ale prorocztwa te sprawdzają się, pozwalają kierować działaniami tworzącymi wielkie zreby nowego, sprawiedliwszego ustroju. Nie ma w nich tak wymuszkanej statystyki, nie ma tak nienagannie skrojonych sformułowań, ale jest to, co zawzięcie stanowiło i stanowi będzie o istotnej wielkości naukowej myśli: przenikliwość analizy, potęga syntezy i siła przewidywania, wobec której najpoprawniejsze studium mieszczańskie socjologii wydaje się karłowatym tworem.

Żyjemy w cieniu wielkich zwycięstw tej wielkiej sztuki przewidywania, wielkiej sztuki współpracy człowieka z historią. Opieramy na niej naszą wielką inżynierię przebudowy ustroju i nasze rozległe szkielety projektowe budowy bezklasowego społeczeństwa. Napelniamy jej chwałą nasze broszury, poświęcamy jej analizie nasze podręczniki, walczymy w jej imieniu z socjologicznym sceptycyzmem. Głosimy sobie i światu, że marksizm jest wielką nauką, bo pozwala na wielki zakres przewidywań, bo jest dzwignią skutecznego działania wielkich ludzkich mas. I mamy wielką rację.

Ale chyba zbyt chętnie szukamy schronienia pod jej skrzydłami, chyba zbyt jesteśmy skłonni do nieustającej akademii ku czci wielkich prawd marksizmu, a każdej prawdzie, nawet największej, nie służy ciągły klimat akademii. Zachowujemy się często tak, jak rentierzy, żyjący z kapitału tych wielkich odziedziczonych racji, z nie przez nas stworzonych zwycięstw tej wielkiej sztuki przewidywania. Zachowujemy się często tak, jakbyśmy sądzili, że wystarczy nam do dostatecznego życia pobieranie procentów z kapitału zwycięstw wielkiej rewolucyjnej inżynierii; że zdołamy już egzamin wobec historii, mamy już dyplom i nie potrzebujemy nieustannie na nowo uczyć się sztuki przewidywania i doskonalić się w kierowaniu rozwojem nieustannie nowych dziedzin życia. Wierzyliśmy na przykład dość długo i z uporem godnym lepszej sprawy, że życie zastępuje się posłusznictwem do naszych poleceń i znieśie nam na zawołanie złote jajko wielkiej sztuki, a otrzymaliśmy, mówiąc za niezłym znawcą, Sioueiros'em — akademizmem. przypominający reklamistów amerykańskich biznesmanów.

Popadaliśmy gromadnie i epidemicznie w chorobę, którą Lenin u samego progu rewolucji nazwał „k o m e z w a n s t w e m”, czyli komunistyczną psychikawatością, pokrywającą fuzerstwo w robocie i pomaganie sobie kolanem, tam gdzie nie stało wiedzy. Żyliśmy dość długo na kredyt świętości naszych politycznych prawd, wyobrażając sobie, że wystarczy one do

bezbłędnej orientacji we wszelkich dziedzinach życia. Jeśli nie wystarczały, na co nie brak przykładów, i jeśli życie nie zawsze chciało być nam uległe, twierdziłmy najchętniej, że jest to wina wrogów wpływu — i tym samym uwalnialiśmy się automatycznie od rzetelnego badania.

Dziś odstąpiliśmy już od przesadnej wiary w twórczą potęgę metod administracyjnych. Spozrzedliśmy — mądrzy po szkodzi — że nie dostaje nam nieco wiedzy o właściwościach, czyni specyficie pewnych dziedzin życia, w których, niepomni nauki Wielkiego Miszra Rewolucji, nie chcieliśmy uwzględnić jego zbyt luźnej, nie chcieliśmy uwzględnić jego zbyt trzeźwej, jak na nasz zapat ok statystyki, zasa- trzejowej, że lepiej mniej ale lepiej — bo to lepiej będzie przemierzać silniej niż najdoskonalsza administracja. Ale warto jeszcze dzis, mimo że obywatel pozostają już za nami, zacytować leninowską kpinę z patetycznej wiary we własną nieomyślność, jaka cechowała często nawet „najlepszych, bezwarunkowo uczciwych i oddanych komunistów” z chwilą, gdy ufin w wiekosc swej politycznej przeszłości przenosili się dajmy na to do kierowania handlem: „Zagadnienie polega na tym — pisał Lenin w 1922 roku — że odpowiedzialny komunist, i nawet najlepszy, bezwarunkowo uczciwy i oddany komunist, który przetrzymał katorgę i nie bał się śmierci, handlować nie umie, dlatego że nie jest człowiekiem interesu, że się tego nie uczył i nie chce się uczyć, i nie potrafi, że musi zacząć uczyć się od abecadła. On, komunist, rewolucjonista, który dokonał największej w świecie rewolucji, na którego spogląda, jeśli nie 40 wieków z wierzchołków piramid, to 40 krajów europejskich z nadzieją oczekującą wyzwolenia od kapitalizmu — musi się uczyć u zwykłego handlowego subiekta, który biegał za ladą sklepową lat dziesięć, który się na tym zna, on zaś, odpowiedzialny komunist i oddany rewolucjonista, nie tylko się na tym nie zna, ale nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że się na tym nie zna. I o toż towarzysze, jeśli przezwyciężymy cnotażby te pierwszą ignorancję, to będzie to największe zwycięstwo... W nowym, niezwykle trudnym dziele trzeba umieć kilkakrotnie zaczynać od początku” —

W tej wielkiej kpinie, której zdrowego ducha zatraciłmy na dłuższy czas i na spore niebezpieczeństwo, nie chodziło tylko o handel, chociaż handel był wtedy głównym ogniwem socjalistycznego budownictwa. Chodziło o sprawę ogólniejszą, która do dziś nie straciła swego znaczenia. Chodziło o zwalczanie szkodliwej wiary ogarniającej wielu aktywistów, wiary w polityczną maturę jako wystarczający klucz do zrozumienia wszystkich dziedzin życia, wiary niesłychanie szkodliwej, wstrzymującej rozwój rzetelnych technik kierowania rozwojem nowego społeczeństwa.

Otoż wydaje się, że warto by, idąc za duchem tej twórczej kpiny, stworzyć front walki z naszą własną ignorancją, z naszą własną nieznajomością rzeczy, nieumiejętnością przewidywania wielu skutków naszych działań, z jednym z odcinków zasadniczych tego wcale potrzebnego frontu byłby odcinek n a j s z e r z e j p o j e t e g o w y c h o w a n i a. Tutaj najdobitniej i najboleśniej mściło się wszelkie k o m e z w a n s t w o. W tej dziedzinie najdalej byliśmy od rzetelnej naukowej techniki działania, a nasza dotychczasowa socjotechnika, czyli, jak to dumnie mówimy, inżynieria dusz ludzkich opierała się głównie na zgola przednaukowej wierze w magiczne oddziaływanie słów, byle tylko dobrze ustawionych, powtarzanych uroczyście, często, i ułożonych w należytnym porządku.

Kto to są wdechowie? Określenie to zapożyczymy z artykułu dr honoris causa nauk chuliganologicznych J. Manturzewskiego, drukowanego w ostatnich numerach „Poprostu”. Postawa wdechowa polega na nawykowej reakcji obronnej skierowanej przeciwko natręctwu i płaskości naszej wszelkiego typu propagandy. Wdechowiec jest człowiekiem sztywnym, rozczarowanym. Tworzy w sobie pancerz, od którego odbija się wszelkie wielkie słowo i wielkie uczucie, utożsamiane z drętą mową wypowiedzaną bez rzeczywistego pokrycia. Jest człowiekiem nieprzemakalnym na wszelką ideowość, bo wszelką ideowość uważa za lipę.

Wdechowiec jest seryjnym produktem naszej propagandy z okresu lakiernictwa. „Wszelkie zabiegi wychowawcze — cytuję za Manturzewskim — realizowane za państwowe pieniądze, uważają za drętą mowę, za propagandę w wąskim i nieprzejmymym znaczeniu słowa. Prze-

konanie to tkwi w nich przy tym tak głęboko, że ilekroć zetkną się z imprezami wykraczającymi poza zwykły repertuar środków drętwej mowy (w ich rozumieniu), traktują takie imprezy jako ciekawe, bo po trosze antypaństwowe... Bunt młodych przybiera czasem charakterystyczną formę weltschmerz, „wszystko lipa, wszystko jest nudne, wszystko kłamia”.

Wydaje się, że można widzieć w szerokim rozmiarze się tego typu postaw masowe skutki zarówno natręctw jak przemilczenia pisanego i mówionego słowa, masowe skutki stylu i treści pracy naszej ogromnej aparatury politycznego wychowania.

Jeśli mówimy dziś o konieczności dokonania przełomu w pracy masowych organizacji, jeśli nieustannie drukujemy artykuły wskazujące na rzecz, zdawałoby się prostą a dość dokładnie u nas zapomnianą, że ludzie lubią jak się do nich mówi jak do ludzi a nie jak do mas, bezpośrednio — a nie za przedydualnego stołka, prosto — a nie modą krzyżową sztuką, prawdziwie — a nie modą lakierników — otoż jeżeli to wszystko było do niedawna rewelacją, to właśnie dlatego, że w naszej masowej inżynierii dusz ludzkich stosowaliśmy tego typu środki, które zaprowadziły nas, mówiąc językiem z artykułu Manturzewskiego w „Poprostu” — w z a k l e t y k r ą g drętwej mowy.

Zalóżmy przez chwilę, że czyniliśmy to jedynie w porwywie czci dla naszych wielkich racji, które chcieliśmy udostępnić ludziom wszelkimi możliwymi i zgola niemożliwymi środkami. Mieliliśmy tedy dobre intencje. Ale od kiedy to marksisci tłumaczą się dobrymi intencjami? Przecież mówimy nieustannie, że opieramy się na nauce w pracy nad budową socjalistycznego społeczeństwa, że w naszym działaniu kierujemy się nauką. A — mówiąc najprościej — nauka jest to społecznie sprawdzalna wiedza o związkach między zjawiskami umożliwiającą ich przewidywanie, i — jeśli ocho! — posługiwanie się nimi do celów praktycznych. W i e c j a k a n a u k a k i e r o w a l i s y m y s i ę w n a s z y c h a k c y a c h m a s o w y c h, opartych do niedawna niezmiennie często na najfatalniejszej w skutkach technice organizacji kolektywnego demonstrowania uczuć o d g ó r n i e z a p r o j e k t o w a n y c h? Jaką nauką kierowaliśmy się, poddając młodzieżowe organizacje systematycznemu oddziaływaniu potoków drętwej mowy? Przecież dla przewidzenia skutków tej roboty nie trzeba było nawet żadnej nauki, wystarczyło trochę tej serdecznej wiedzy, której mogłaby nam udzielić każda z matek i każdy ze starych rewolucjonistów przyczepiających do bliskości do ludzi.

Powiedzmy więc sobie możliwie głośno i z gorącą wolą poprawy, że w dziedzinie inżynierii dusz ludzkich byliśmy partaczami, że, wierząc we wszechmoc wielkich słów i siłę oddziaływania wielkich zwycięstw, rozstaliśmy się na pewien okres z tym naukami, które pozwoliłyby nieco szybciej i dokładniej przewidzieć ścisły związek między partactwem naszych środków wychowawczych, a niepokojącym nas dzisiaj szerzeniem się swoistej psychologii i etyki wdechowej.

Oto przykład ze stanu rzeczy metodyki pracy w jednej z masowych organizacji młodzieży (art. J. Chmielenskiego w „Walcie Młodych”, cyt. w Trybunie Ludu):

„Dzisiejsza metodyka harcerek nie uwzględnia w dostatecznej mierze ani poziomu umysłowego dzieci, ani ich zainteresowań, ani ich potrzeby ruchu, ani potrzeby uczuciowych przeżywań, ani ich dążenia do niezwykłości, do przygodnych działań, ani potrzeby zabawy i radości”. Ta rzecz niewinąlek nastąpiła w całej pedagogice.

Powiedzmy sobie, że jak na ludzi mających szczerze zamiar wszędzie kierować się nauką, było to nieco zasadnicze nieporozumienie, zasadniczy błąd, który da się stręścić przy pomocy krótkiej diagnozy stwierdzającej, że nasza inżynieria dusz ludzkich nie operuje żadną głębszą wiedzą o — z filozoficznym przeproszeniem — duszy, czyli psychice człowieka, gdyż w walce z psychologizmem popadaliśmy w wniosły obojętność wobec czegoś takiego. Powiedzmy sobie głośno, że to dłużej nie przystoi ludziom, powołującym się na naukowy światopogląd, i zabierzmy się do roboty.

„W naszym niezmiennie zaczynać od początku”. Jeśli mówić tak nie wstydził się Lenin, to dlaczego my mielibyśmy się wstydzić?

Jan Strzelecki

OPOWIEŚĆ KRYMINALNA

(Dokończenie ze str. 4 i 5)

posadę do nas wróci? I dodawali po chwili:

— Bo, wiesz, on już znalazł swoje sposoby i dał we wsi znać: że niedługo wyjdzie. Ze jak wyjdzie, to dopiero pokaże co potrafi. Ze ukarze kogo będzie trzeba.

A więc nawet najwyższy wymiar kary nie zdołał wywołować całkowitego Węgrzynowice od strachu.

Działal swego czasu w powiecie miechowskim bandyta Lach. Został schwytany, miał proces, otrzymał karę śmierci. Wyrok wykonano. A jednak — jak o tym pisał niedawno Władysław Machek (*) — „wies miechowska nie uwierzyła w wykonanie wyroku... Na papierze skazano. Różnie bywa” — mówią o procesie Lacha chłopcy w miechowskim, do dziś jeszcze. Spotrzeżenia Machejka z miechowskiego pasują jak ulał do moich spostrzeżeń z okolic Rawy. A więc nie tylko jednego i drugiego powiatu dotyczą, są znacznie szerszym zjawiskiem. „Myślałem i myślę do dziś co sieje nieufności, co jatrzy naturę ludzką?” — pyta Machek i po stwierdzeniu, że większość kar stosowanych u nas jest niewspółmiernie niska w stosunku do przestępstw, odpowiada: „Prosi ludzie są moralnie bardziej surowi, boją się bardziej łagodności, liberalizmu niż drakońskich kar, bo tylko bezwzględność może być postrachem przestęp-

czych duchów”. I dalej: „Jest pewne, że jak niedostatku nie da się zamaskować jedwabnymi pończochami i warstwą luksusu, tak nie da się ukryć grozy przestępstw pod łagodnymi wyrokami sądowymi”.

Z rozważań Machejka wynika więc krytyka swoistego lukrownictwa w sądownictwie, która budzi nieufność wśród społeczeństwa w sprawiedliwy wymiar kary. Na pewno ma to swoje racje. Ale też na pewno na nieufności tej odbija się echo dawnego poważania dla sprawiedliwej, szczerze bijącej w geby dziedzicowej władzy oraz — co może ważniejsze — patrzenia na prawo jak na trwałą, nie zmieniającą nigdy swego kształtu granitową głaz. Tymczasem w ostatnich latach, latach gwałtownych rewolucyjnych zmian, na oczach wszystkich sądowych (i nie tylko sądowych) „petentów” wielokrotnie zmieniała się funkcja sprawiedliwości. Nieraz i nie dwa razy sądownictwo stawało się sądziami. Sądzonego staro prokuratora. Potem sądownictwo młodego, który przyszedł na jego miejsce. Nierzadko to samo przestępstwo dostawało w przeciągu kilku miesięcy skrajnie różną kwalifikację. Szpiega skazywano na dwa lata, kierowca który spowodował wypadek na lat dziesięć, złodziej wracał z karnego obozu niosąc w kieszeni dyplom przodownika pracy. Tysiące, ba! setki tysięcy ludzi wychowywanych w kategoriach absolutnej sprawiedliwości patrzyło na tę bi-

twę klasową, nic z niej nie rozumiejąc.

Byłoby strusią polityką niedostrzeżenie faktu, że na marginesach tych walk o wielkim ładunku ideologicznym szwendali się Trachta i jemu podobni, korzystając bez skrępow, iowiąc pełnymi garściami

ryby we wzburzonym wodzie; w wodzie, której nurt był nie do przeniknięcia dla oczu wierzących w to, że ludzka sprawiedliwość jest niezmienna na obraz i podobieństwo sprawiedliwości boskiej.

Stefan Kozicki

Kacik gaffologa

Czy rzeczywiście nie ma już na to rady?

Mieszkańcy Warszawy od paru dni z niepokojem obserwują wyrastanie secesyjnych balasków ze szczytu wieżowca hotelu „Warszawa”. Rzecz wydaje się niewątpliwie godna, a jednak nie jest koszmarnym snem, lecz rzeczywistością. Trudno sobie w takim wypadku nie zadać pytania, jak to jest możliwe, że po tylu dyskusjach, w których głos powszechnej opinii fachowej i publicznej przepędził, zdawałoby się ostatecznie, widmo potworowatych dziwolągów — wykutała nadal, jakby na drzewie ze społecznej troski, secesyjne balaski i trua w najlepsze styl kiczowatej architektury? Dość spojrzeć, do jak pretensjonalnej szpetoty doprowadziła już ona parter skromnego w swym wyrazie wieżowca, aby sobie wyobrazić, co będzie, gdy dokończy swego dzieła.

W przypadku tym omiňuje się kilka rodzajów obrażających zła: 1) marnotrawstwo pieniędzy spo-

łecznych (za kosztą tychże balasków wybudować by można zapewne niejedno mieszkanie więcej); 2) zepszczenie Warszawy; 3) psucie smaku społecznego; 4) podważanie ufności społecznej w celowości służnej krytyki i w demokratyczne obyczaje. To ostatnie zło jest przy tym złem najpoważniejszym.

Czy rzeczywiście nie ma już rady na to, aby decydujące o architekturze Warszawy grono specjalistów zechciało ureznieć zamiechać czegoś, co jest ponad wszelką wątpliwość brzydkie, co psuje krew wszystkim, a skarb państwa naraża na kosztowne straty?

Pytamy poki czas, poki ten dziwny konflikt między gronem specjalistów z jednej a społeczeństwem, smakiem, rozsądkiem i ekonomią z drugiej strony nie przysporzy większych szkód z okazji budowy śródmiejskiej dzielnicy.

aw.

Na linii

Wolno!

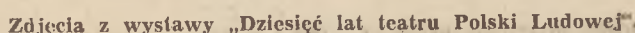
Raz tam się podlizać, a raz tu,
Jak robią to, nie bez gracji,
Niektórzy od lat jedenastu.
(Nazwiska i adresy są znane Redakcji)

ZA GRANICA

KU UWADZE ORGANIZATORÓW WARSZAWSKIEGO FESTIWALU MŁODZIEŻY. Jak podaje „Neue Deutsche Literatur” młodzi poeci niemiecky różnieni w konkursie przy okazji warszawskiego Festiwalu Młodzi nie wiedzą dotąd czy rzeczywiście są laureatami, czy też nim nie są. Do chwili obecnej nie otrzymali żadnych oficjalnych zawiadomień o wyróżnieniu, wiedzą tylko o tym ze skąpych komunikatów prasowych, publikowanych przez biuro festiwalu oraz z plotek swoich znajomych. (a)

nowe książki

w coraz większym stopniu sta-
się zaspokoić wymagania czyteln-
ka. Jak zwykle jednak pozostaw-
iamy wiele do życzenia sprawa jakości
papieru.



W krajach tych następuje rozkwit nauki o teatrze w oparciu o zbiory, kolekcje, muzea i biblioteki. W Niemczech powstaje prywatny zbiór Ludwika Schneidera (w r. 1863 sprzedany Berlińskiej Bibliotece Państwowej); w Hamburgu jest dział teatralny w Bibliotece Miejskiej. Wielkie znaczenie miała kolekcja teatralna wybrana przez Józefa Gregora ze zbiorów Biblioteki Narodowej, która w roku 1922 została wzbogacona przez archiwą kilku teatrów wiedeńskich.

Edmund Wierciński. Czy pamiętaliśmy o utrwaleniu ich roli w historii, naszego teatru, o zebraniu dokumentacji ich twórczego życia?

Każdy rok zwłoki w powstaniu muzeum teatralnego musi przynosić kulturze teatralnej dalsze straty.

Na sto muzeów w Polsce — powinno się znaleźć miejsce na muzeum poświęcone teatrowi, który staje się źródłem myśli i wzruszeń dla coraz szerszych mas.

Wanda Padwa